



26 Rok XVI
(815)

CENA 1.50 ZŁ

1.7.73

G DZIE
PRZEPADŁ
G LENN
M ILLER
?!

Patrz str. 9

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY



ANDRZEJ MAKOWIECKI

WSZĘDZIE Z TOBĄ

Doroczne, wtapiające się z wolna w łódzką tradycję Święto Czytelników „Głosu Robotniczego” zaczęło się akcentem oficjalnym. Na spotkanie z zespołem redakcyjnym, które miało miejsce w Klubie Dziennikarza (sobota, 16 czerwca, godz. 14), przybyli reprezentanci wszystkich środowisk — działacze i aktywiści partyjni, przedstawiciele świata nauki i kultury, zetemesowcy, robotnicy, chłopci, milicjanci i żołnierze, a także laureaci konkursu „GR”: **ŁUDZIE INICJATYW SPOŁECZNYCH**, którzy z rąk zastępców redaktora naczelnego, Edmunda Tulki i Krzysztofa Pogorzela, odebrali cenne dyplomy i nagrody.

Wśród zaproszonych gości byli między innymi pierwsi sekretarze KŁ i KW PZPR — **Bolesław Koperski** i **Jerzy Muszyński**, sekretarz KŁ PZPR — **Jerzy Chabelski**, wiceprzewodniczący prezydium Rad Narodowych Łodzi i Województwa — **Ksawery Krassowski** i **Leszek Wysłocki**, prezes WK ZSL — **Stanisław Migza** oraz prezes WK SD — **Roman Kaczmarek**. Nie zabrakło również dostojnych gości z Warszawy — wiceprezesa Zarządu Głównego RSW „Prasa-Książka-Ruch” — **Wiesława Beka** i przedstawiciela Wydziału Propagandy Prasy i Wydawnictw KC PZPR — **Jerzego Bernerta**.

Dalszy ciąg na str. 6

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

MISTRZA GARSTKI życiorys niebanalny

Ten życiorys zapisałem w **ELEKTROCIEPŁOWNI IM. WŁODZIMIERZA LENINA** przy Al. Politechniki. Pojechałem tam, by spełnić swój zamiar sprzed trzech lat.

O mistrzu **STANISŁAWIE GARSTCE** dowiedziałem się po raz pierwszy w czasie przygotowywania materiałów o laureatach turnieju „Młodych Mistrzów Techniki”. W trakcie rozmowy z jed-

nym z nich usłyszałem zdanie:

— Był dla mnie surowy, wymagający, ale sprawiedliwy, jak ojciec. Właściwie

Dalszy ciąg na str. 4

EWA NURCZYŃSKA

Co roku w czerwcu

Od trzynastu już lat Kraków ogłasza w miesiącu czerwcu świąteczne dni filmu krótkometrażowego, przygotowując dlań oprawę, która po części wynika z uroków samego miasta, po części z umiejętności stworzenia atmosfery, skupiającej na filmie krótkim uwagę, która w takim stopniu nie bywa jego udziałem w dniach roboczych, czyli w ciągu całego roku. Film fabularny ma swe coroczne święto również — obchodzi się je, jak dotąd, w Łagowie.

Łagów to czas podsumowań i ocen generalnych — Kraków to dla większości widzów okres premier i pierwszych spotkań z prezentowanymi filmami, dla realizatorów zaś możliwość konfrontacji własnych dokonań z filmami innych i co chyba najważniejsze — z reakcją publiczności. Te okoliczności nadają krakowskiej imprezie niepowtarzalną atmosferę ciekawości i nadziei. Film krótkometrażowy we wszystkich swych odmianach — dokumentalny, popularno-naukowy czy animowany, co roku w czerwcu, udowadnia, że ani myśli ustąpić z pola walki o należne mu miejsce w życiu społecznym i kulturalnym.

W trzynastoletniej historii Ogólnopolskich Festiwalu Filmów Krótkometrażowych bywały lata bogate

w wydarzenia, które nie tylko ranga ich artystycznej określała, bo film krótki, zwłaszcza dokumentalny, ma swe określone funkcje społeczne — jest rejestratorem i interpretatorem społecznych zdarzeń. Bywały też lata pewnej stagnacji artystycznej i niskiego stopnia społecznej aktywności: te festiwale stawały się sygnałem potrzeby nowych poszukiwań. Takim sygnałem, w moim osobistym przekonaniu, stał się również XIII Ogólnopolski PFK. Przekonanie to spróbuję uzasadnić, postawiwszy kilka problemów i pytań o formę i funkcję filmów pokazywanych w Krakowie, filmów, którym bardzo dawno temu nadano przydomek krótkometrażowych.

Dalszy ciąg na str. 3



Jerzy Krawczyk — grafika

IX PLENUM

Chciałem stereotypowo napisać — doniosłe plenum — ale wracając myślami do kilku ostatnich posiedzeń plenarnych Komitetu Centralnego PZPR doszedłem do wniosku, że trzeba by je obdarzyć takim samym przymiotnikiem. Plenarne posiedzenia KC stały się bowiem autentycznie doniosłymi wydarzeniami w życiu partii i państwa i skupiają zasłużenie uwagę wokół podjętych uchwał i problemowych ocen.

Obrazy IX Plenum KC obszernie relacjonowały środki masowej informacji, wkrótce podstawowe materiały z plenum ukażą się w specjalnej publikacji „Książki i Wiedzy”. Zwróćmy więc tylko uwagę na niektóre aspekty dominujące podczas obrad.

Po pierwsze, plenum odbyło się przed Krajową Konferencją PZPR, najwyższym gremium partyjnym

między zjazdami i jest jakby do tej konferencji roboczym wstępem.

Po drugie, plenum miało wyjątkowo szeroką problematykę określoną jako „zadania partii, państwa i związków zawodowych w kształtowaniu warunków pełnego zaangażowania twórczych sił narodu dla rozwoju kraju”.

Po trzecie, dominującą problematyką krajową uzu-

pełniono informacją Biura Politycznego o węzłowych zagadnieniach polskiej polityki zagranicznej.

Stало się już od pewnego czasu dobrą tradycją, że plenum KC jest jakby podsumowaniem prac, jakie nad poszczególnymi problemami prowadzi się na wszystkich szczeblach działalności partyjnej i państwowej. Tak było i obecnie. Podczas konsultacji wypowiedziało się 630 towarzyszy, działacze centralnych i terenowych. W opracowaniu materiałów wzięło udział setki ekspertów.

Problemy rozpatrzone przez IX Plenum to w równej mierze zagadnienia ideologii, polityki i ekonomii — ich wzajemna więź i uwarunkowania. Chodzi bowiem zarówno o kształtowanie socjalistycznej świadomości społecznej, o skupianie narodu wokół celów nakreślonych przez partię, jak i umocnienie czołowej roli klasy robotniczej i kształtowanie socjalistycznych stosunków międzyludzkich. A równolegle z tym chodzi o optymalne wykorzystanie istniejącego potencjału gospodarczego, a w tym największego bogactwa narodu — ludzi, których rola mimo rewolucji naukowo-technicznej nie maleje, lecz rośnie.

Mamy pod tym względem

szczególnie korzystną sytuację. Jesteśmy społeczeństwem młodym, o wysokiej aktywności zawodowej, wysokim i stale rosnącym poziomie wykształcenia i kwalifikacji zawodowych. Niestety, nie potrafimy tej sytuacji maksymalnie zdyktować w codziennej pracy. Za dużo jest marnotrawienia cennego czasu, nie zawsze zatrudniamy ludzi zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami. Mimo znacznego ożywienia i poprawy polityka kadrowa, pozostawia wiele do życzenia. I nie możemy czekać do lat 80-tych, kiedy zmniejszony dopływ nowych pracowników (w mniej korzystnej sytuacji demograficznej) zmusi nas do racjonalnej gospodarki kadrami. Aby sprostać z powodzeniem sytuacji jutrzejszej, sprawy te trzeba intensywnie porządkować już dzisiaj. Realizując zgodnie z zasadami ustrojowymi politykę pełnego zatrudnienia musimy przyjąć jako bezwzględnie obowiązującą zasadę politykę zatrudnienia racjonalnego.

Oceniając pozytywnie dotychczasową realizację programu VI Zjazdu plenum wskazało, że jedynie częsty wzrost produkcji osiągnięta jest dzięki intensywnym, jakościowym czynnikiem postępu. Nie jest to więc sy-

tuacja jakiej wymaga dzień dzisiejszy, czas racjonalnego i efektywnego gospodarowania.

Na plenum zabrali głos również przedstawiciele organizacji partyjnych Łodzi i woj. łódzkiego.

Członek KC, I sekretarz KL PZPR tow. Bolesław Koperski omówił zagadnienia związane z sytuacją na rynku pracy w naszym mieście. Charakteryzuje się ona wyczerpaniem rezerwy męskiej siły roboczej i wysokim stopniem aktywizacji zawodowej kobiet. Przemysł łódzki nie wykorzystuje w pełni planów zatrudnienia, osiągając przyrost produkcji globalnej w 76,5 proc. przez wzrost wydajności pracy. Taka sytuacja, niedoboru rąk do pracy cechowac będzie łódzki rynek pracy w najbliższych latach, co determinuje programowanie rozwoju Łodzi w oparciu o intensywne metody gospodarowania. Wymagać to będzie wykorzystania wszelkich rezerw, jak np. dalsza aktywizacja zawodowa kobiet, które obecnie nie posiadają kwalifikacji, rozwój wszelkich form kształcenia i dokształcania, racjonalną gospodarkę kadrami.

Zastępca członka KC II sekretarz KW PZPR tow. Ludwik Maźnicki przedsta-

wił kierunki pracy instancji wojewódzkiej, których celem jest wcześniejsze przygotowanie kadr dla nowopowstających inwestycji. W bieżącej 5-letniej przemysł woj. łódzkiego wchłonie 40 tys. pracowników. Równie ważnym problemem jest przygotowanie kadr dla usług, ograniczenie nadmiernej absencji chorobowej i przestoju w pracy; praca wychowawcza, która ma zapobiec społecznej dewaluacji niektórych istotnych z punktu widzenia ogólnego zawodów, np. w usługach. KW rozważy możliwość wprowadzenia nowych ocen pracy tak, aby można było ocenić całokształt pracy danego pracownika w zakładzie.

W przemówieniu końcowym na IX Plenum tow. Edward Glierek powiedział: „Szaniowni towarzysze! Omawiane dziś problemy potraktujcie jako szczególnie ważną. Podejmijcie aktywne działanie, by zapewnić wykonanie uchwały IX Plenum. Idźmy konsekwentnie drogą wyznaczoną przez VI Zjazd. Świadomość tego powinna być powszechna i stała w całej partii, w całym społeczeństwie. Ma to kluczowe znaczenie w naszej pracy dla Polski, dla socjalizmu”.

J. ŻAK

Nic co łódzkie...

„nie jest mi obce. Składam taką deklarację, aby znów mnie nie posiadono o różne brzydkie rzeczy. I deklaruję dalej, że zawsze uważałem lokalny patriotyzm za rzecz wielce pożyteczną i twórczą. Ale — jednocześnie — nie stroniłem od wytykania tendencji do odcięcia się od całego świata, zamykania się we własnym kręgu. Mam bowiem obok wielu cennych przejawów — lokalnego patriotyzmu również — przykłady partykularnego myślenia i działania.

W skarbnicy mądrości ludowych jawę wprawdzie przysłówie: „cudze chwalecie, swoje nie znacie”, ale własne najlepiej można zobaczyć i ocenić na (te cudzego. Kiedy nie wytyka się nosa poza miejskie rogatki, wtedy wszystko wydaje się najlepsze i jedyne. I dopiero trzeba porównać, aby odrzucić szkodliwe samouwielbienie i stwierdzić, że my robimy dobrze, ale inni robią też tak samo, a czasem nawet lepiej.

W łódzkiej gazecie, która pisze o wszystkim co łódzkie, spotykam tytuł: „Łódzkie meble najlepsze”. Z treści informacji wynika jednak, że nie jest

to opinia użytkowników tych mebli. Przeciwnie — jest to opinia dyrektorów Łódzkiej Fabryki Mebli. Podstawą do takiej opinii stał się fakt, że LFM otrzymała dyplom i nagrodę „za najwyższą jakość produkcji”. Za najmniejszą serię z tytułu braków i reklamacji”. Pięknie, chwala założyciela LFM, ale ten dyplom i nagroda wcale jeszcze nie dowodzą, że „łódzkie meble najlepsze”. Po pierwsze — na rynku nie ma mebli pod dostatką i klient bierze wszystko, co znajdzie w sklepie. Po drugie — jest to mimo wszystko opinia producentów, bo przyznano ją w ramach zjednoczenia. A zawsze lepiej jest skłócić nas niż, niż kiedy chwalamy się sami.

Muszę zastrzec się, że nie mam nic przeciwko LFM, ani tym bardziej przeciw gazecie, która pisze o wszystkim co łódzkie. Mam natomiast wiele przeciw nadużywaniu przymiotnika „łódzki”. Spotykam go też często w innych gazetach, które też pisze o wszystkim co łódzkie. Oto przykład. Tytuł: „Medale dla łódzkich myślicieli”. Domyślam się, że były zawody i lodzianie zdobyli tam nagrody. Ale nie z tych



rzeczy. Medale przyznano jedynie z okazji 50-lecia Wojewódzkiej Rady Łowickiej. Odbyła się natomiast akademia. Z tej samej okazji i takie same medale dostaną również myśliciele z innych ośrodków kraju.

W codziennym informatorze obu tych gazet znajduję zawiązanie o godzinach otwarcia „Łódzkiego ZOO”. A czy w Łodzi lub regionie są jesz-

cze inne ogrody zoologiczne? Niby drobiazg, ale symptomatyczny. Dowodzi, że przestaliśmy być już wrażliwi na treść przymiotnika „łódzki”. A przecież „łódzki” powinno przede wszystkim oznaczać typowe dla Łodzi, a dopiero później coś, co powstało lub znajduje się tutaj.

Nadużywanie przymiotnika „łódzki” prowadzi często do nieporozumień.

Poddałem niedawno w wątpliwość, czy rzeczywiście mieliśmy „łódzki sukces na krakowskim festiwalu” skoro i inni dostali nagrody i to nawet więcej. Obrzucił się za Jan Pawka, donosząc wzm i wobec każdemu, że „w łódzkim piśmie zajmującym się sprawami społeczno-kulturalnymi” ośmielono się poddać coś w wątpliwość. I to coś, co wyszło spod jego pióra.

Przypadek chciał, że w „Gazecie Radomszczańskie” w identyczny sposób na Karola Badziaka obrzucił się Roman Cielecki. A obrzucił się za to, że K. Badziak śmiał przedkładać w książce reportaż o radomszczańskim procesie przeciw czesławowi Niemcowi i „Siłnej Grupie”. Różnica jednak między Romanem Cieleckim a Janem Pawką jest taka, że Roman Cielecki, który pisze felietony, nie bardzo rozumie praw reportażu, a Jan Pawka, który nie dał się jeszcze poznać jako felietonista, nie rozumie praw felietonu. Poza tym łączą ich gniew na tych, którzy ośmielają się „szargać świętości” i myśleć inaczej.

Zawsze deklarowałem poparcie dla polemik, nawet jeśli prowadzi się je w sposób mało elegancki, a argumenty zastępuje się tandetną złośliwością. I dlatego obu śmiało wstepujacym w polemiczne szranki życzę powodzenia, pasji i argumentów. A sobie — następnego polemicznego spotkania.

MARCIN RODAK

Ze świata

Rzadko bywają tygodnie tak bogate w doniosłe wydarzenia, jak miniony. Ostatnie dni przyniosły deklarację o umocnieniu przyjaźni i pogłębieniu współpracy między PRL a NRD, dziewięć porozumień radziecko-amerykańskich, oraz 2 protokoły handlowe, parafowanie układu CSRS — NRF, weźle w życie układu o podstawach stosunków między obu państwami niemieckimi, zalecenie Rady Bezpieczeństwa przyjęcia do ONZ Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Niemieckiej Republiki Federalnej... Świat w 28 roku po zakończeniu II wojny światowej stabilizuje się pod wpływem zobowiązań państw, które chcą stworzyć podstawy trwałego systemu bezpieczeństwa. Przyszły historyk wymieni będzie czerwiec 1973 roku jako miesiąc, w którym zrobiono wielki krok w kierunku pełnego odprężenia.

Radziecka ofensywa pokoju, trwająca od XXIV Zjazdu KPZR, przynosi rezultaty, oczekiwane przez świat. Któryś z komentatorów zauważył, że w jej wyniku zmieniły się również Stany Zjednoczone. Leonid Breżniew przyjechał do Ameryki innej niż była ona przed laty. Wśród przyczyn tych zmian wymienić trzeba: bankructwo ideologii zimnej wojny, brak alternatywy dla polityki współistnienia, załamanie się wyłącznego przywództwa Stanów Zjednoczonych w zachodnim świecie oraz przegrana USA w Wietnamie. Te czynniki, łącznie z kłopotami wewnętrznymi Stanów Zjednoczonych, wpłynęły na pewne przewartościowanie ich polityki — przyjęły one jedyną realną możliwość: pokojowego współistnienia. Na tym tle trzeba spojrzeć na trzy niezmiernie ważne porozumienia, jakie podpisali w Waszyngtonie Leonid Breżniew i Richard Nixon: o zapobieganiu wojnie nuklearnej, o podstawach rozmów w sprawie dalszego ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych

oraz o współpracy naukowo-technicznej w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii atomowej. Podobnie, jak i pozostałe porozumienia, mają one charakter bilateralny, ale nikt nie wątpi w ich ogólniejsze, międzynarodowe znaczenie.

Porozumienie o zapobieganiu wojnie nuklearnej przynosi zobowiązanie do takiego postępowania, „aby zapobiec powstawaniu sytuacji mogących wywołać niebezpieczne zaostrzenie ich stosunków, unikać konfrontacji zbrojnych i wykluczyć wybuch wojny nuklearnej między nimi oraz między każdą ze stron a innymi krajami”. Porozumienie mówi ponadto o powstrzymaniu się od grożenia siłą i jej zastosowania nie tylko przeciwko drugiej stronie, ale również jej sojusznikom oraz innym krajom. Na tym przykładzie widać najlepiej ponad dwustronny charakter porozumienia.

Drugie porozumienie, dotyczące dalszego ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych, zapowiada kontynuowanie aktywnych rozmów, które pozwoliłyby opracować zasady pełniejszego ograniczenia tych zbrojeń tak, aby odpowiedni dokument podpisany został w przyszłym roku. W tym miejscu trzeba powiedzieć o postanowieniu spotkania się obu przywódców w 1974 roku w Moskwie. Potwierdza się więc przewidywanie, o którym pisaliśmy w ub. tygodniu, o rytmiczności radziecko-amerykańskich spotkań na szczytach.

Trzecie z wyluczonych porozumień ustala w sposób bardzo konkretny dziedzinę współpracy w opanowywaniu energii jądrowej. Przewiduje ono m. in.: tworzenie mieszanych grup roboczych, wspólne tworzenie ośrodków maszyn i urządzeń, wspólne prace teoretyczne i badawcze, odbywanie konsultacji, wymianę informacji naukowo-technicznej itp. Kieruje więc uwagę na pokojowe wykorzystanie energii atomowej. Doniosłość tego porozumienia zrozumiemy, jeśli uświadomimy sobie, jak szybko rosną potrzeby energetyczne świata.

W chwili rozpoczynania druku „Odgłosów” nie znamy

jeszcze końcowego komunikatu o wizycie sekretarza generalnego KC KPZR w Stanach i prowadzonych tam rozmowach. Jednak ich wielkość można już mierzyć zawartymi porozumieniami oraz zainteresowaniem świata. Wszyscy bowiem zdają sobie sprawę z tego, że amerykańska podróż Leonida Breżniewa otwiera przed światem optymistyczne perspektywy. Rejon obecnie największego napięcia — Bliski Wschód — oczekuje na przykład w rezultacie radziecko-amerykańskich rozmów pokojowego ewoluowania sytuacji, południowo-wschodnia Azja — przyspieszenia procesu przywracania pokoju, Europa — dobrosąsiedzkiej współpracy...
 * * *
 Pokojowy rozwój stosunków międzynarodowych zależy od wszystkich państw — dużych i małych. Ale szczególna odpowiedzialność za wyeliminowanie niebezpieczeństwa wojny spada na wielkie mocarstwa, a wśród nich przede wszystkim na Związek Radziecki i Stany Zjednoczone. Dlatego rozmowy waszyngtońskie znalazły się w centrum zainteresowania opinii publicznej na obu półkulach.

Poświęciliśmy dzisiejszy komentarz jednemu z największych wydarzeń w całej powojennej historii stosunków międzynarodowych. Nie starczya przeto miejsca na skomentowanie innych. W telegraficznym skrócie — poza wymienionymi wyżej — odnotujmy więc tylko:
 — załamanie się po 11 miesiącach we Włoszech koncepcji rządów, opartej na współpracy centrum z prawicowymi liberalami. 37 po wojnie kryzys rządowy w tym kraju wyłoni z pewnością rząd centrolewicy,
 — zakończenie rozmów Campidou — Brandt, w toku których, jak piszą agencje — osiągnięto porozumienie co do pewnych „fundamentalnych kierunków” budowy Europy zachodniej,
 — wizytę Leonida Breżniewa we Francji.

W. ŚLAWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI.

CO ROKU W CZERWCU

Dalszy ciąg ze str. 1

METRAŻ — WAŻNA SPRAWA

Określenie — film krótkometrażowy — właściwie nawet w etymologicznym swym znaczeniu nie znaczy dziś już to, co znać. Film krótki przekracza dziś niejednokrotnie w swym czasie projekcji minut trzydzięści, co tylko pozornie nie ma większego znaczenia. W ten sposób, na przykład, naruszono specyficzne prawa dramaturgii krótkiej formy filmowej, co, jak dotychczasowe przykłady dowodzą, nie wyszło jej na dobre. Jako dowód wspomnieć tu można film Edwarda Skórzewskiego „DOKTORANT” (wyróżnienie jury), przedstawiający postać ociemniałego, pozabawionego rąk pana Michała Kaziów, który przy pomocy przyjaznych mu ludzi, walcząc z własnym kalekim, zdobył doktorat w zakresie nauk humanistycznych. Filmowa prezentacja tych dramatycznych i niezwykłych losów ludzkich obroniła się samym bohaterem, realizacja grzeszyła niedostatkiem, rozciągnięciem w czasie opowiadania, posiadającą kilka zakończeń. Takich filmów było, niestety, znacznie więcej. Zaproponowano, iż silną dokumentu była zawsze umiejętność wyboru i syntezę, właściwego rozłożenia akcentów i wydobycia pointy, mocnej, we właściwym momencie podanej. Zasada ta obowiązuje i dziś.

DOKUMENT — WĄTPLIWOŚCI I PYTANIA

Uwagi poprzednie stanowią wprowadzenie do problemu, który kilka lat temu zdefiniował wszystkie dyskusje, towarzyszące krakowskiemu Festiwalowi — jest nim sprawa współzależności kina i telewizji. Przed rokiem jeszcze stawiano dramatyczne pytania o los WFD i związane z nią realizatorów. Na TV patrzono jak na wroga, który zdobyłby własność kinematografii i pozyska na swój wyłączny użytek jej twórców. Obecnie pytanie to powtórzono wprawdzie, ale jeden z czołowych realizatorów WFD, zdobywca tegorocznej Grand Prix, w wystąpieniu swym niepokojowi temu zaprzeczył. W istocie, WFD istnieje, jej twórcy pracują, a ich filmy wcześniej czy później do TV trafiają — to oczywiste. Dla niej i za jej pieniądze też realizować filmy będą. Główny problem współzależności kina i telewizji leży w czym innym. W drugiej połowie lat 60-tych w doku-

mentale znalazły wyraz nowe tendencje — obserwowany dotąd głównie w działaniu, człowiek przemówił wówczas z ekranu. Był to niewątpliwie wpływ telewizji. Wydawało się wtedy, iż dokument dotarł w ten sposób do człowieka autentycznego, że jest w stanie powiedzieć o nim wszystko. Rozpoczęła się moda na filmy, które celnie, choć złośliwie Zygmunta Kalużyńskiego nazwał wówczas „gadającym głowami”. Moda ta jeszcze trwa — realizatorzy filmów telewizyjnych pozostają jej absolutnie wierni. Rasowi dokumentaliści filmowi zaczynają się powoli otrząsać z tej telewizyjnej presji, próbując łączyć klasyczne swe metody z poczynionym przed laty „telewizyjnym” odkryciem.

Na nowe, jak dowiódł tegoroczny Kraków, przyjdzie jeszcze poczekać. Wydaje się jednak, że nadszedł czas, by dokumentaliści przestali się wreszcie bać telewizyjnych kolegów, realizujących swe filmy szybciej i sprawniej. Jest to bowiem wyłącznie sprawność natury dziennikarskiej, cierpiącej w swym telewizyjnym wydaniu na niestaranność formy i brak artystycznej inwencji, która dokument klasyczny zawsze cechowała. Zauważalny dziś w dokumencie filmowym brak należytej troski o perfekcję dramaturgii i montażu oraz staranność kompozycji kadru, jest grzechem głównym, odziedziczonym z inwencji filmów telewizyjnych, które również i w tegorocznym Festiwalu okazały się w większości przypadków wyłącznie filmowym zapisem dziennikarskiego wywiadu czy reportażu.

Nie pierwszy już raz wedyktowi jury musiałoby zapewne towarzyszyć pytanie o kryteria wartościowań. Co nagradzano — wybór tematu, bohaterów filmu, czy jego realizację? W sztuce musi przecież istnieć współzależność i harmonia wszystkich tych elementów.

Grand Prix — Złotego Lajkonika XIII Ogólnopolskiego FFK otrzymał w tym roku film Bohdana Koscińskiego „BUDOWALEM MIASTO”. Ta decyzja jury była właśnie dowodem preferencji potrzeby wspomnianej wyżej harmonii. Film Koscińskiego to historia pewnego miasta i jego ludzi. Budował to miasto pod Krakowem jeden z dwu bohaterów tego filmu — ojciec. Patrząc na stare kroniki nowohuckiej budowy, wspomina i komentuje te lata.

Kontrapunktem losów i postaci ojca jest jego syn. Ich spotkanie to zetknięcie starego z nowym, to konfrontacja pokoleń i ich światopoglądu. Twórczość Koscińskiego zawsze budziła uznanie i szacunek, swym nowym filmem jeszcze raz przypomniał dobrą szkołę dokumentu.



Jedną z dwu Nagród Specjalnych — Srebrnego Lajkonika przyznano filmowi TV „UROCZYSKO” w reżyserii Józefa Blachowicza i Krystiana Przysieckiego. Ten film egzemplifikuje wszystkie wspomniane wyżej grzechy telewizyjnych propozycji filmowych. W dalekim zakątku Bieszczad dziennikarce telewizyjnej odnaleźli osiadłe tam przed kilku laty rodziny. Matka z trzema córkami żyje tam od dziesięciu lat, hodując bydło, walcząc z niedźwiedziami i wilkami, nie rezygnując z normalnego życia, które oznacza między innymi, normalną szkolną naukę jej dzieci. Dzielnicy ludzie mówią dziennikarzowi o swym codziennym, choć tak niezwykłym życiu. Film jest wyłącznie techniczną formą zapisu tego, co mówią ludzie. Czy dziennikarzom daje się nagrody wyłącznie za znalezienie ciekawych ludzi?

Boję się, że w najbliższym roku ruszą w Polskę filmowcy, szukający interesujących ludzi, którzy zdobędą dla nich festiwalowe nagrody. Machną ręką na formę filmową, to znaczy na sztukę, rozmienia ciekawych ludzi na drobne i pogubią po drodze problemy, które oni niosą.

Nagrody główne na każdym festiwalu — to nagrody kierunkowe — warto by więc może zwrócić uwagę na inny film telewizyjny, który uhonorowano, nie wiedzieć czemu, wespół z drugim — myślę o świetnym „POTOMKACH SEBASTIANA GRZYBA” i banalnym filmie „ZAWSZE JEJ DŹDŻA POCIĄGI”, obu w reżyserii Mariusza Waltera. Reportaż z uroczystości 200 rocznicy powstania rodu Grzybów przekracza próg wyjątkowo odnalezienia tematu i ludzi ciekawych. Film odkrywa to, co godne podziwu i co po troszę śmieszne, niegodne powiecia. Pełni nie tylko funkcję zapisu, ale i publicystycznej interwencji.

I tu dochodzę do konstatacji głównej — jeśli w zakresie dokumentu tegoroczny Kraków dostarczył rozczarowań, to głównie dlatego, że w większości propozycji — tych telewizyjnych, artystycznie nieudolnych i tych filmowych, którym braki artystyczne wytykać nie zawsze można — zabrakło odwagi i pasji w penetracji zjawisk życia społecznego. Zarówno tych pozytywnych jak i negatywnych, oczekujących na interwencję. Pojawił się w tym roku w filmach typ bohatera pozytywnego, zajęto się też człowiekiem starym — to dobrze. Z większości tych filmów wiał jednak jakiś chłód, czuło się czasem powierzchowność, naiwność spowierzchnia i nie-dobry protekcjonalizm. („KRAWIEC I GWIAZDY”).

Kino nie da się oszukać, kamera obserwuje i rejestruje ludzi, ale za nią przecieć ktoś stoi. Chciałoby się osobowość i zaangażowanie tego kogoś również dostrzec. Że jest to możliwe, przekonał nas film prezentowany wyłącznie na pokazie informacyjnym, a nie konkursowym — „HAPPY-END”, debiut filmowy Pawła Kędzierskiego i Marcela Łozińskiego. Ta gorzka psychodrama, której społecznej użyteczności przecenić nie

sposób, pretendowała, wbrew regulaminowi, do nagrody Klubu Krytyki Filmowej „Syrenki Warszawskiej”.

ANIMATORZY I DEBIUTANCI

Nagrodę „Syrenki” ostatecznie otrzymał film Zdzisława Kudły „SZUM LASU” — animowana, operująca surrealistycznymi motywami malarskimi przypowieść o rozbieżności zachodzącej między rzeczywistością a jej wizją. Filmy animowane święciły w Krakowie często triumfy, tego roku było ich również wiele. Zachowały charakterystyczną dla polskiej animacji cechę — preferują, przy różnych technikach filmowej plastyki, raczej typ filozoficznej przypowieści niż czystej anegdoty. Miłą niespodzianką sprawiły debiuty, należy do nich piękny film Jerzego Kuci „POWRÓT”. Janusz Wiktorowski („Se-Ma-For”) zdobył Brązowego Lajkonika za film „GDZIE SIĘ PODZIAŁY KOCHANE DINOZAURY”, przewrotny i zabawnie ilustrujący kłeskę próby zachowania postawy odmienności.

Kraków miał w tym roku szczęście do udanych debiutów. To dobry prognostyk na przyszłość. Piotr Andrejew (WFO) powtórzył swój sukces z zakopiańskiego Przeglądu Filmów o Sztuce, uzyskując za swój film „IDZIE MROZ” wyróżnienie. W trudnej dyscyplinie filmów o sztuce ta prezentacja twórczości Daniela Mroza zwraca uwagę świeżością i oryginalnością. Bezspornym sukcesem Bohdana Dziworskiego (WFO) było uzyskanie Nagrody Specjalnej — Srebrnego Lajkonika za film „KRZYŻ I TOPÓR”. Dziworski, należący dziś do czołówek naszych operatorów, zadebiutował tym filmem jako reżyser. „Krzyż i topór” uznano powszechnie za najpiękniejszy film Festiwalu. Opowieść o ruinach zamku Krzyżtopór, o historii i współczesności, które dziś się w nim spotykają, zachwycała oryginalnością samego pomysłu, misterią kompozycji i urodą zdjęć, stała się dowodem, że w filmie krótkometrażowym liczy się talent również silnie co w fabule.

CHWILA PAMIĘCI

Czas wojny powrócił na ekrany festiwalowego kina kilkakrotnie. Były to głównie filmy poświęcone pamięci tych, którzy polegli na frontach II wojny światowej.

Na uwagę zasługiwał film Józefa Gębskiego i Antoniego Halora „NOTATNIK 14” i Macieja Sińskiego „PRO MEMORIA”. Andrzej Brzozowski swój wielki cykl wietnamski zamknął filmem „DZIESIĘĆ DNI PIERWSZYCH” — te dni, to Wietnam po zakończeniu wojny. Nie wyróżniony na festiwalu krajowym, film Brzozowskiego otrzymał Grand Prix na X Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych, który stanowił drugą część krakowskich świątecznych dni filmu krótkiego.

EWA NURCZYŃSKA

PIOTR P. LISIECKI

Prawo z pomocą wynalazcom

Dziesięć lat działania ustawy nie jest okresem zbyt długim, a jednak zaszła potrzeba kompleksowej zmiany prawa wynalazczego, pochodzącego z 1962 r. Stało się to m. in. dlatego, że zaszła konieczność dostosowania tego prawa do kształtującego się nowego modelu zarządzania gospodarką narodową. Uznano za celowe uwzględnienie nowych tendencji w zakresie ochrony wynalazków i wzorów użytkowych, jakie ujawniły się na świecie w okresie ostatnich kilkunastu lat.

19 października 1972 r. Sejm uchwalił nowe prawo wynalazcze — ustawę o wynalazczości. Na jej podstawie wydano jedynie jedno rozporządzenie i trzy zarządzenia wykonawcze, ograniczające w ten sposób liczne i zbyt szczegółowe przepisy, które istniały dotychczas.

Nowe prawo wynalazcze zawiera jednolitą terminologię, która zwiększy czytelność przepisów prawnych, umożliwi prawidłową ich interpretację. Sprzyja temu także umieszczenie powtórzeń przepisów innych ustaw i aktów wykonawczych. Jest to wyraz nowej polityki legislacyjnej, zmierzającej do jednolitego, zwartego i jasnego systemu ustawodawstwa w naszym kraju.

Bogata problematyka nowego prawa wynalazczego koncentruje się na trzech podstawowych zagadnieniach, ściśle się zeszła ze sobą spleśniałych. Chodzi tu o stwarzanie prawnych warunków stymulacji twórczości technicznej, uzyskiwania ochrony na wynalazki i wzory użytkowe oraz gospodarczego wykorzystywania pomysłów wynalazczych w interesie całego społeczeństwa i jego rozwoju cywilizacyjnego.

Twórczy wkład wynalazcy musi znaleźć należyte uhonorowanie osobiste i majątkowe, które społeczeństwo powinno mu zapewnić. Trafne i odpowiadające potrzebom społeczno-gospodarczym określenie praw wynalazców oraz gwarancji ich szybkiej realizacji stwarza rzeczywistość zachętę do podejmowania pracy twórczej przez uzdolnione osoby, a zwłaszcza zaś przez pracowników nauki.

Nowe prawo wynalazcze przewiduje różnorodny i znacząco wzbogacony w stosunku do stanu obecnego zespół środków prawnych pobudzania inicjatywy pracy twórczej, zwłaszcza jeżeli chodzi o wynalazczość pracowniczą. Dotyczy to w dużej mierze zwiększenia wynagrodzeń za pomysły wynalazcze.

Istotną rolę zarówno w stymulacji wynalazczości jak i gospodarczego wykorzystywania nowych pomysłów wynalazczych spełnia system ochrony prawnej wynalazków i wzorów użytkowych. Z jednej bowiem strony pozwala należyście usatysfakcjonować słuszny interes wynalazców i przedsiębiorstw, z drugiej zaś strony stanowi zyczny instrument w kształtowaniu i rozwijaniu życia gospodarczego nowoczesnego i uprzemysłowionego kraju. Prawo wynalazcze mierza do ożywienia tradycyjnie uformowanego systemu patentowego, oryginalnie dostosowując go do warunków i potrzeb socjalistycznej gospodarki. Fundamentem tego systemu jest prawidłowe określenie przedmiotu prawa wynalazczego, wynalazku podlegającego opatentowaniu i wzoru użytkowego, podlegającego ochronie oraz zasady uprawnień do patentu i do prawa ochronnego na wzór użytkowy.

Decydujące znaczenie w nowoczesnym spojrzeniu na system patentowy ma procedura udzielania ochrony. Musi ona z jednej strony szybko ujawniać społeczeństwu zgłoszone rozwiązanie techniczne — wynalazki i wzory użytkowe, a z drugiej strony elastycznie umożliwiać podejmowanie spraw w zakresie warunków wymagających do uzyskania ochrony w zależności od rzeczywistych potrzeb i gospodarczego zainteresowania określonym rozwiązaniem technicznym. Czynnikiem temu w pełni zadość przyjęte w nowym prawie zasady zgłaszania wynalazków i wzorów użytkowych i rozpatrywania zgłoszeń przez Urząd Patentowy oraz wprowadzenie dwóch rodzajów patentów: patentu o 15-letnim okresie trwania i patentu tymczasowego, dającego 5-letnią ochronę, a udzielanego po ograniczonym tylko badaniu. Wreszcie, zupełnie odmiennie niż dotychczas, nowe prawo wynalazcze normuje warunki korzystania z pomysłów wynalazczych przez jednostki gospodarki uspołecznionej, opierając się na zasadzie rozrachunku gospodarczego i możliwości zawierania umów licencyjnych. W ten sposób przedsiębiorstwo, w którym pomysł wynalazczy powstał, jest jego gospodarzem, ponoszącym nie tylko ryzyko dokonania i wprowadzenia pomysłu wynalazczego, ale mające również możliwość czerpania korzyści, jakie uzyskuje się w związku z przemysłowym stosowaniem pomysłu wynalazczego, a także — na podstawie odpłatnych umów — przez inne jednostki gospodarki uspołecznionej.

To znamienne rozwiązanie dostrzeżone słuszny interes tych jednostek gospodarki uspołecznionej, które będą obecnie korzystały z dobrodziejstwa pomysłów wynalazczych, kofiarując go prawidłowo z interesem wynalazcy oraz z interesem całej załogi, realizującej i stosującej pomysł wynalazczy.

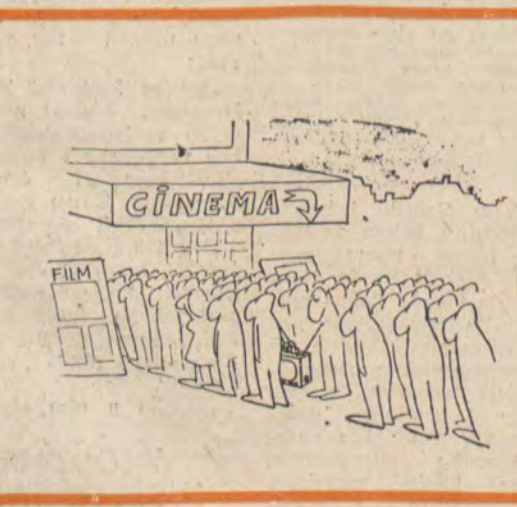
Nowe prawo wynalazcze można scharakteryzować jako prawo i dla wynalazców i dla przedsiębiorstw.

wyjaśniającego ustalił, że zarzuty zawarte w notatce były słuszne.

W szczególności ustalono, że stanowisko, jakie zajęła rejestratorka, było nieprawidłowe, gdyż winna zarejestrować dziecko mimo braku legitymacji ubezpieczeniowej i skierować je jako gorączkujące w pierwszą kolejność do gabinetu lekarskiego. Decyzję tę powinna podjąć już podczas telefonicznego zgłoszenia wizyty ambulatoryjnej do lekarza Poradni D.

W celu zapobieżenia możliwości wystąpienia podobnych nieprawidłowości Wydział wydał odpowiednio zalecenia zmierzające do usprawnienia toku przyjęć matek z dziećmi w Poradni.

OD REDAKCJI: Dziękujemy za rzeczowy stosunek do krytycznego listu naszego Czytel-



„BIUROKRACJA W SŁUŻBIE ZDROWIA”

W związku z notatką prasową, jaka ukazała się w tygodniku „Odgłosy”, z 13. 5. 1973, pt. „Biurokracja w służbie zdrowia”, w rubryce „Listy do Redakcji”, dotyczącej niewłaściwej pracy rejestracji w Przyszłości Obwodowej w Aleksandrowie — Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi, ul. Ogrodowa 15, po przeprowadzeniu postępowania

Dalszy ciąg ze str. 1

to nie ja, a on powinien dostać nagrodę.

Potem o mistrzu Garstce słyszałem wielokrotnie. I wtedy, gdy uruchamiano Elektrociepłownię na Bałutach i w czasie minionej zimy, kiedy ciepło w naszych mieszkaniach zależało i od jego pracy.

Próbowałem z nim porozmawiać. Ale zawsze, kiedy przyjeżdżałem do Elektrociepłowni, był zajęty. Nie wypadało przeszkadzać. Uruchomiono wreszcie Elektrociepłownię na Bałutach. Nowy kocioł zdolny jest już do ogrzewania kolejnych bloków — i wreszcie znalazł się czas na rozmowę. Inaczej go sobie wyobrażałem — jako trzydziesto-

bardzo mu dopisywało. Od czasu do czasu łapał dorywczo zajęcie, by znów wrócić do niewielkiej izby na poddaszu, w której tłoczyło się kilka osób.

Potem przyszła wojna, okupacja i praca w bauerowskim majątku. I wreszcie 1945 rok Garstka rozpoczyna nowe życie. Poznał dziewczynę, ożenił się i zaczął szukać „solidnej” — jak powiada — pracy.

Tym razem udało się. Elektrownia przy ulicy Przejazd potrzebowała pracowników. Zgłosił się i został przyjęty. Pamięta te chwile doskonale:

— Warunki w starym zakładzie były ciężkie. Urządzenia w złym stanie. A przecież to była jedyna elektrownia i zapotrzebowanie na prąd ogromne. Miasto się rozbudowywało — potrzeby były. Myśmy poświęcali dął i noc. Najważniejsze były właśnie noce. Soboty, niedziele, święta Wielka-

rzeć się za możliwościami. Nadarzyła się okazja. Rozpoczęto budowę nowej elektrowni przy Alejach Politechniki.

— Marzyłem, żeby dostać się na rozruch. Nie ma co ukrywać — kierownika po prostu ublażałem, to był taki trochę pół kolega, pół znajomy. Zgodził się oddelegować mnie tutaj na trzy miesiące, wtedy, kiedy tam na Przejazd roboty malowały. Cieszyłem się jak głupi, bo wiedziałem, że w moim życiu zaczyna się znów coś nowego. Egzamin wstępny zdałem jako tako. Potem poszło lepiej. Przeżymano mnie pół roku. I kłopot. Dostałem wezwanie z powrotem na Przejazd. Nie chciałem wracać. Grożono nawet wymówieniem. Ale przecieć tutaj, na Alei Politechniki miałem już wyrobioną pozycję. O mojej sprawie dowiedzieli się w Zjednoczeniu i na szczęście załatwili ją w ciągu kilku dni. Zostałem oficjalnie, służbowo przeniesiony. Można więc pozostać. Do Elektrowni na Przejazd więcej nie wróciłem. Nie miałem po co.

W jego życiu wiele się zmieniło. Praca, dom i to,

szczęścia. Dlaczego zatem nie poprzestał na tym, co miał?

— We mnie jest coś takiego jak honor i ambicja. Żeby się nie dać. Żeby zawsze nie być gorszym od innych. Lubie iść tam, gdzie jest najtrudniej. Wtedy można pokazać, kim się jest naprawdę. Nie rozumiem jak się można zamykać, kiedy są kłopoty. Wiedziałem, jak już niejedną płakał nad maszyną. A ja lubię ją przekonać, i musi dla mnie pracować.

Miał więc wtedy prawie czterdzieści lat i sporo własnych, życiowych doświadczeń.

— Są jeszcze duże braki, spore niedociągnięcia. Warunki poprawiają się, owszem, ale jeszcze nie tak, jak powinny wyglądać. Za mało czasu upłynęło. Za mało zalogo. Nie zawsze można dostać to, co by się chciało i co jest potrzebne. Zrobić to, co jest niezbędne dla zakładu. A ludzie są przecież różni. Człowiek z pracą, ze swym zawodem powinien się żyć. Musi go polubić i pokochać — to jest zasada. Jak on uzna warsztat pracy za swój, jak będzie go co dzień obserwował, rozbięrał, naprawiał — to wtedy nie ma siły, żeby nie doszedł do wniosku, co jest złe, co trzeba zmienić, jak usprawnić robotę, żeby jutro można było lepiej pracować.

To było prawdopodobnie motorem jego pierwszych, nieśmiałych prób na racjonalizatorskim polu. Pierwszego swego wniosku nie pamięta. Ale z uczuciem dumy wspomina drugie miejsce, jakie uzyskał w 1954 roku we współzawodnictwie zakładowych racjonalizatorów. Miał swoją indywidualną metodę działania.

— Moja zasada była i jest taka: wykonać, wypraktykować, nie zawieść, nikogo w błąd nie wprowadzić.

Papierkowa robota lepiej zostawiać na później. Jak już jest wszystko opracowane i zdaje egzamin, to można wtedy śmiało wystąpić na piśmie. I nie ma siły, żeby były zastrzeżenia komisji, bo jakby nie sprawdzali — wszystko musi się zgadzać. Nie muszę się chwalić, ale nie miałem w życiu wniosku, który — byłby odrzucony.

Nie lubił papierkowej roboty. Wyobrażam sobie, ile kłopotów musiał sprawiać komisji, zgłaszając wniosek bez dostatecznej porcji rysunków (bo z tym zawsze miał problem). I, być może, gdyby nie pomoc inżyniera Olszewskiego, nie zdołałby przebrnąć biurokratycznej machiny. Nie wszystkich inżynierów darzy sympatią. Nie wynika to bniżej z faktu, że sam ukończył za ledwie siedem klas i z trudem uzyskał dyplom mistrzowski. Ma swoje uzasadnienie, które przekonuje...

— Ja już przeszedłem kuźnię inżynierów. Rozmaitych, lepszych i gorszych. Jedno wiem: ten, który walczy się bezpośrednio z brzdąką w tok pracy — z nim można do czegoś dojść, coś zbudować. Ale spotkałem i takich w białych kołnierzykach, co to do niego się nie dotkną, żeby się nie obrudzić. Od takich to już się człowiek niczego nie dowiedzie, nie czegoś się nauczy. Oni całe życie przesiedzą za biurkiem.

— Nie przeczę. Teoria na pewno mała, wiedza duża. Ale na wykonaniu to się nie zna ani na zab. Jeden z drugimi wie na temat, że trzeba wykonać łożysko, czy coś tam naprawić. No, to bierze katalog i pisze według niego: cztery albo pięć godzin pracy — pięćdziesiąt złotych zapłaty. I dla niego sprawdzi się na tym kołczy. Ale on nigdy nie pomyśli, że to wcale nie takie proste. Czasem pięćdziesiąt złotych to jest o wiele za dużo, a czasem tysiąc — za mało.

Zna to doskonale. Wie, ile wysiłku kosztuje przekroczenie nawet jednej, nieporozumianej i niewidocznej z wierzchu śruby. Też, od której często zależy, czy w naszych mieszkaniach będzie ciepło, czy będzie paliło się w nich światło.

Wie również, ile szkody może spowodować człowiek, który owego drobniaczka nie docenia. I dlatego stara się, by sood jego ręki nie wyszedł fuszer.

— Wychowałem już wielu ludzi. Takich jak Najder z EC III, czy Czesław, nie pamiętam już nazwiska, który jest w Zrewie. Dział to brzdąkać. Prowadza swoje odcinki. Poszli w mój charakter. Jak jest ktoś chętny i chce pracować, to umożliwiła mu się bez przerwy zmianę stanowiska.

Konkurs na opisanie osiedla

III nagroda

ZARZEW (FRAGMENTY)

Cóż można napisać ciekawego na temat tak młodego osiedla, jak „Zarzew”? Młodego i tak podobnego do innych osiedli łódzkich? Są tutaj takie same bloki, małe mieszkania, jak na Kuraku czy Teofilowie. Jak i tam brak tu sklepów, placówek usługowych.

Wyobraźmy sobie, że wczesnym rankiem przechodząc znalazł się w koszarowym osiedlu „Zarzew”. Przed nim rozciągała się główna ulica osiedla im. Wandy Wasilewskiej, z szerokim chodnikiem po jednej stronie. Owych chodników udał się przed jednopiętrowy budynek z dumnym napisem: „Administracja osiedla Zarzew”.

Z budynku administracji wybiegli nagle jakis spółdzielca. Przechodząc ruszył za nim i tak obaj znaleźli się na rozległym parkingu. Mieszkaniec osiedla był tak wzburzony i zdenerwowany, że niewiele brakowało, a wpadłby pod wyjeżdżający samochód. Przechodzień zapytał go o reke, okazji zaczął się uskarżać: — Panie, co to za architekt projektował to osiedle? Niech pan spojrzy: dwa obrzynie parkiny w samym „sercu” osiedla. Jak gdyby przedziobał i mieszkający ludzie w sąsiednich blokach za mało nawdychali się gazów na zatoczonych ulicach, to jeszcze muszą je wdychać w swoich mieszkaniach i przedszkolu, nie mówiąc już o tym, jak to paule widok całego osiedla. A przecież te dwa parkiny mogłyby być zaprojektowane jako zielone, gdzie latem spotykałby się znajomi, poplotkowali trochę, podyskutowali. Albo mieszkanie. Przy „pomysłach” wiatrach temperatura nie przekracza +19°C i tak trwa już od dwóch lat. Ale myśl pan, że można to zmienić? Owszem, próbowałem, zgłosiłem do administracji, przyszedł jakiś spec i stwierdził, że wszystkie urządzenia działają bez zarzutu, a że jest zimno, to już nie jego wina. Na moją niesmiałą wzmiankę n. ewentualnego dokręcenia kilku żaberek, spec roześmiał się i stwierdził, że za takie rzeczy można zapłacić karę, a nawet opuścić mieszkanie za dewastację spółdzielczych zasobów mieszkalnych. Może nie powiedział — zasobów, tylko — substancji, ale nie o to chodzi, a tylko o to, że w mieszkaniu jak było zimno, tak jest do tej pory.

— A kierownik osiedla co na to — zainteresował się przechodzień.

— Kierownik? Powiedział, żeby mu nie zawracać głowy, gdyż ma na niej (tzn. na głowie) całe osiedle i nie będzie się martwić takimi drobnostkami jak zimno w mieszkaniach spółdzielców.

Pod wieczór przechodzień udał się do klubu. W tym przybytku kultury wszystkie tzw. mechaniczne środki masowego przekazu, tj. radio, telewizor, adapter, magnetofon i grająca szafa nastawione były na cały regulator i wylecieliśmy. Młodzież obojga plet śledziła po kątach z nogami na fotelach, kurzyła papierosy, a niektórzy z nich byli już na tyle „ukulturowieni”, że kurzyło im się również z czupryn. Od czasu do czasu, poprzez halas czyniony przez „masowe środki” dawały się słyszeć wykrzykiwane subtelne rozmowy „przyszłości naszego narodu”.

— Te, odczep się od Jędzi, bo dam w ryja.

— Jak ci się nie podoba, to... do chaty i graj w szachy...

— Ale działaj widziałem w kinie fajne d...
Usłyszawszy to przechodzień nie wytrzymał tyłu wrażeń i osunął się zemdlny na podłogę. Do świadomości jego dośły jeszcze słowa:

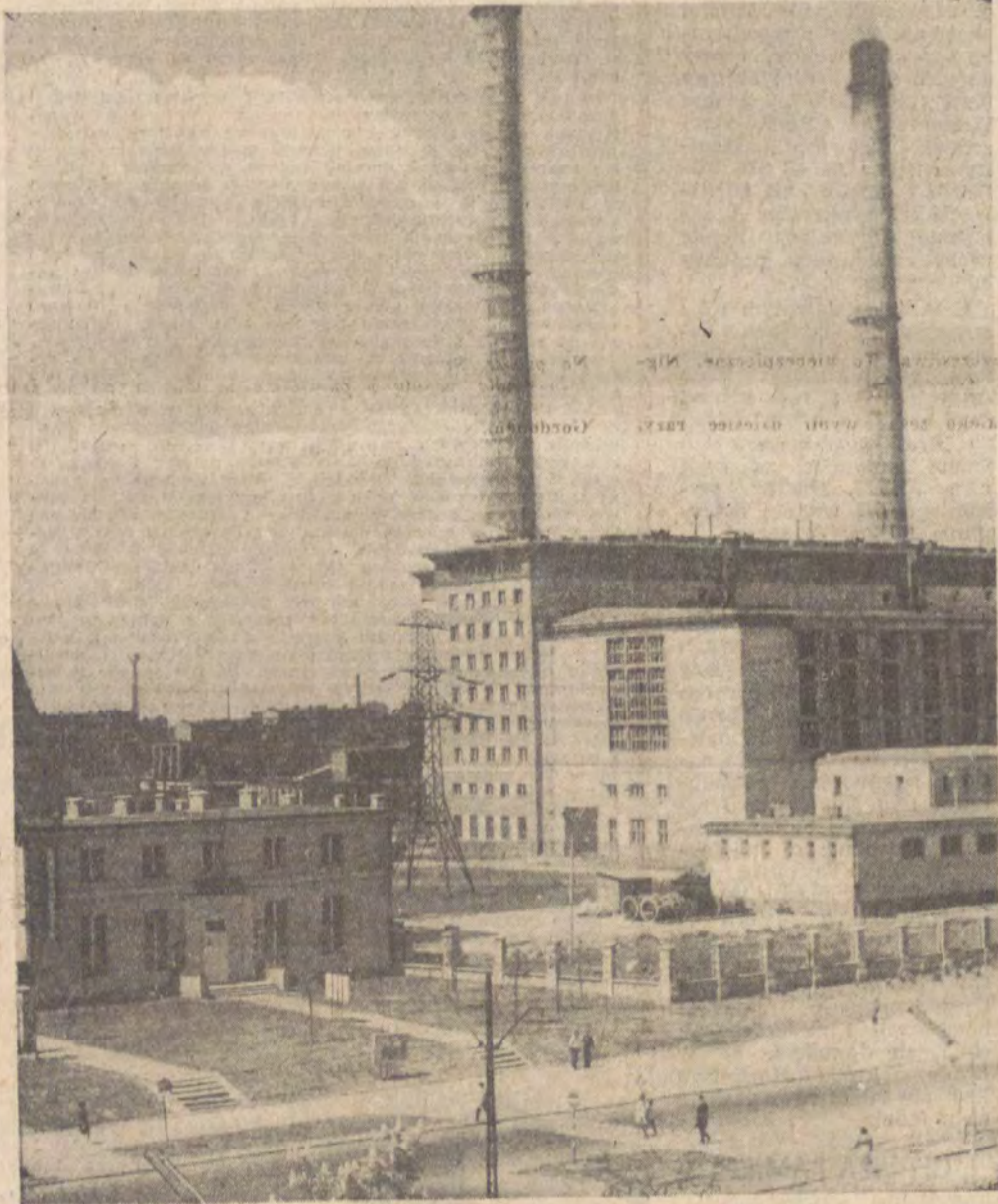
— Patrzcie panowie, jak się „metalowie” zalakierowali, a nam żalują kilku butelek „jaboika”, a sami?

* * *

To wszystko prawda, ale osiedle „Zarzew” jest naszym osiedlem. Nie wyobrażam sobie, abym mógł gdziekolwiek indziej mieszkać, tak się z nim już żyłem. Mam już wspomnienia z tego osiedla. Pamiętam, jak dwa lata temu, podczas roztopów, żeby się dostać suchą nogą do naszego bloku, zmuszeni byliśmy kupić sobie buty gumowe, najdłuższe, jakie tylko były w sklepie. A ile było śmiechu z mojego brata, który w czasie roztopów wybrał się do nas w odwiedziny i wszedł do mieszkania tylko w jednym butku, gdyż drugi zgubił w bloce? Pamiętam jak był zły wówczas i jak zachwiał suchy Teofilów, a jak myśmy mu „dogryzali”, że Teofilów jest może trochę bardziej suchy od „Zarzewa” i może butów tam się nie gubi, ale za to w wielkim tłumie ginie człowiek niczym na Piotrkowskiej. Ale to było dawniej. „Zarzew” zmienia się z dnia na dzień. Pięknieje.

SEWERYN BRYKALSKI

MISTRZA GARSTKI zyciorys niebanalny



Fot. E. Kudał

parolatka, energicznego, rzutkiego. A siedział naprzeciw mnie mężczyzna pod pięćdziesiątkę, duży, pozornie ościwały, ożywiający się w chwili, kiedy niezbyt składnymi zdaniami opowiadał o swojej pracy.

O sobie mówił niechętnie i zdawkowo. I dlatego uzupełniłem jego opowieść tym, czego dowiedziałem się od kolegów z EC II i znajomych Garstki.

Urodził się w 1922 r., w niewielkiej podłowieckiej osadzie, Bieławy. Ojciec zmarł, kiedy miał rok. Wychowała go matka. Tak było do czterdnastego roku życia, kiedy spróbował szukać szczęścia w Łodzi. Miał się gdzie zahaczyć. Pomogła mu rodzina. Niechętnie wspomina tamte lata. Szczęście nie

noce czy Bożego Narodzenia, wiedzieliśmy co to znaczy, myśmy się tego wyrzekli. Nie można przecież było odstawić jakichś podzespołów do naprawy czy przeróbki w tygodniu. Nie można było przerywać dopływu prądu do fabryk. Ciągnięto się więc do soboty. Wtedy rozpoczęto te roboty i pracowało dwadzieścia cztery, a nawet i trzydzieści sześć godzin po rząd.

Tak było w pracy. A w domu?

Początkowo nie miał nawet własnego kąta. Dopiero po trzech latach przyznano mu mieszkanie. Na utrzymanie pozostawała nie pracująca żona, nowo narodzone dziecko i chora matka. Trudno się zatem dziwić, że główną troską Garstki było zapewnienie im należytego bytu. Należało więc rozej-

do czego nie tylko zmusiło go życie, ale i sam dążył — nauka.

— Czasem nie było wyboru. Trzeba było po prostu zostać po godzinach, nieraz przyjeść w noce. Bywało, że i w niedzielę. Nikt nie pytał wtedy — co z nauką? Nie było tak lekko, jak się teraz niektórym wydaje.

Pewno, ładnie mieć w tej chwili dyplom, pięknie mieć te wszystkie zaszczyty — ale mnie szło to dość ciężko i nieraz trudno było pokonać samego siebie.

Miał wtedy blisko czterdzieści lat. W tym wieku myśli się raczej o stabilizacji. A więc o układowych stosunkach z przełożonymi, o niewychylaniu się, nie podskakiwaniu, słowem o wszystkim, co zapewni spokój w pracy i pełnię rodzinnego



CUMBOTO

Wydawnictwo Literackie w serii „Proza Iberoamerykańska” zaprezentowało nam jednego z najwybitniejszych przedstawicieli, mało znanego w Polsce, literatury wenezuelskiej Ramona Diaz Sancheza.

Zanim zajął się on twórczością literacką imal się różnych zawodów. Dzięki temu dobrze poznał życie zarówno wsi kreolskiej, jak i miast. Szybko zdobywa popularność i w roku 1946 otrzymuje nagrodę literacką dziennika „El Nacional”. Jeszcze większe wyróżnienie spotyka go w roku 1964 — Nagroda Williama Faulknera, za powieść o dziejach „białej” hacjendy, wyrosłej na terenach zamieszkałych przez ludność murzyńską, pt. „Cumboto”.

Jest ona wyrazem zainteresowania pisarza problemami ludności murzyńskiej w Wenezueli. Był zresztą pierwszym autorem, który opublikował esaje na temat Afryki.

„Cumboto” to właściwie pełen liryzmu poemat poświęcony pamięci wielu osadników murzyńskich, którzy zagospodarowywali dziewicze tereny wbrzeża.

Z drugiej strony jest to pełen pasji opis rozpadu wielkich domów spadkobierców konkwiściadorów hiszpańskich. Od strony konstrukcji powieść stanowi jedno opowiadanie, którego narratorem jest Murzyn Natividad, służący i przyjaciel ostatniego z właścicieli egzotycznej hacjendy. Jest ona temem, na którym rozgrywa się konflikty pomiędzy ludźmi odmiennej rasy.

Do najbardziej wartościowych należą niewątpliwie pełne autentyczności sceny obyczajowe obrazujące rytualne obrzędy, śpiewy, tańce sięgające swą tradycją do afrykańskiej przeszłości ludności murzyńskiej.

Powieść kończy się akordami „Appassionaty”, przechodzącej w rytm i odgłos bębnow, pozostawiając niezatarte wrażenie.

Ramon Diaz Sanchez „Cumboto”. Wyd. Literackie 1973.

PIEŚŃ ŚLEPCÓW

Zafascynowani na ogół wielkimi nazwiskami pisarzy Stanów Zjednoczonych: Steibecka, Faulknera, Hemingwaya, czy Caldwellia zapominamy, iż również kontynent południowoamerykański może się poszczycić poważnym i na wysokim poziomie dorobkiem literackim.

Ostatnio jednak coraz głośniejszą mową się o tej literaturze i coraz więcej się jej wydaje. Chwała naszym edytorom, że starają się nie pominąć żadnego interesującego zjawiska. Jedną z najciekawszych postaci, dzięki której literatura Ameryki Łacinińskiej uzyskała wysoką rangę artystyczną i popularność w świecie, jest Carlos Fuentes. Niedołżył lekarz i dyplomata, odnalazł swe powołanie w pisarstwie.

Znany już w Polsce z dwu powieści: „Śmierć Artemia Cruz” i „Kraina najczystszej powietrza”, uprawia również krytykę i nowelystykę. Probkę tej ostatniej otrzymaliśmy w tomie opowiadań wydanych w „Czytelniku” serią „Nika”, pod wspólnym tytułem: „Pieśń ślepców”.

Z reguły w takich przypadkach autorzy nadają całemu zbiorowi tytuł jednego z opowiadań. Tym razem jest inaczej. Ten symboliczny tytuł nadał Fuentes opowiadaniom, które według jego własnego określenia, mają wyobrazić wędrówkę ludzka poprzez świat zidżen i miraży ustępujących przed siłą pragnienia człowieka.

Mistrzostwo pisarza ujawnia się w tym, iż każde z opowiadań, zadenkwowane jednemu spośród najgłośniejszych pisarzy latynoamerykańskich nawiązuje zarówno w formie, jak i treści, do jego twórczości. Oczywiście trzeba by było dokładnie poznać dorobek każdego z nich, by móc wydać jednoznaczny sąd, czy zamierzenie się powiodło, nie ulega jednak wątpliwości, że mamy do czynienia z doskonałą prozą.

A. N.

Carlos Fuentes „Pieśń ślepców”, Wyd. „Czytelnik” — 1973.

DRUGIE WYDANIE

O pracy Włodzimierza T. Kowalskiego „Wielka koalicja 1941—1945” pisali i zapewne pisac będą znawcy przedmiotu. Ta praca historyka ma jednakże walor czytelniczy i to zarówno z racji tematu, jak też dzięki pisarskim talentom Kowalskiego. Książka jest po prostu pasjonującą opowieścią o latach drugiej wojny światowej.

Trudno więc zrozumieć czemu wydawcy tak zaplanowali wysokość pierwszego wydania, że niedługo potem trzeba było drukować następne. Nie rozumiem zatem po co istnieją sondyż wśród księgarzy, po co prowadzi się badania rynku księgarskiego — po co ta cała „aparatura badawcza” skoro wysokość nakładów ustala się nadal na „wojtkowe oko”... Zdumiewające są zwłaszcza nakładowe niewypały w wypadku książek, o których każdy absolutnie technik księgarski po miesięcznej praktyce wie, że są tzw. czytelniczymi pewniakami.

„Wielka koalicja” Włodzimierza T. Kowalskiego jest takim właśnie pewniakiem. Nie więc dziwne, że aktualnie znalazło się na rynku drugie wydanie tej książki — tym razem 29 tys. egz. A więc książka jest i może nie byłoby o co kruszyć kopii. Warto jednak pamiętać, że drugie wydanie oznacza albo nowy skład (bardzo droga impreza) albo magazynowanie poprzednich matrycy przez krótszy lub dłuższy okres. W sumie więc — podrośnięcie kosztów książki. Czyż brak orientacji lub czyjaś nieuczestna ostrożność kosztuje nas dodatkowe tysiące złotych.

J. WL.

Włodzimierz T. Kowalski „Wielka koalicja 1941—1945” Wyd. MON, 1973, cena 60 zł.

Warto przeczytać:

G. APOLLINAIRE — Nowe przekłady, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, cena zł. 90,—

J. KROSS — „Cztery wezwania z przyczyny Sw. Jerzego”, PIW Warszawa 1973, cena zł. 10,—

GÜNTER DE BRUNN — „Osioł Buridana”, PIW Warszawa 1973, str. 219, cena zł. 15,—

K. GJELLERUP — „Młyn na wzgórzu”, Wydawnictwo Poznańskie, 1973, str. 388, cena zł. 35,—

F. KAFKA — „Zamek”, Czytelnik 1973, str. 378, cena zł. 30,— wydanie drugie

F. ERPENBECK — „Sprawa Fatimy”, Czytelnik 1973, str. 231, cena zł. 17,—



Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA (7)

Siedziałam czekając. Korale leżały przygotowane w pudełku. Miałabym jeszcze co robić w mieszkaniu. Ale już mi się nie chciało. Aż ten pan Faber się spóźnia! Czy nigdy nie przyjdzie? Przypomniałam sobie, jak było do tej pory. Nie. Zawsze przychodził.

Powinno przyjść. Muszę czekać. Nagle pokój stał się zbyt cichy. Nastawiłam radio. „Czy jesteś pewna, że twój oddech jest przyjemny? Żeby mieć całkowitą pewność, stosuj...” — przerwałam na inną stację.

„...do gwiazd...” — śpiewał Como. Wysłuchałam jego piosenki do końca. Pomyślałam sobie, jak to cudownie być kimś takim. U szczytu sławy! Bardziej przyjemne.

No, no, przecież mnie też nie jest najgorzej. Siedzę sobie tutaj. Wkrótce nadejdzie pan Faber, może razem z Znajdkiem. I niedługo pójdę do parku. A tam...

Znajdek zaskrobał do drzwi. Tak byłam zamyślona, że nawet nie słyszałam, kiedy pan Faber wchodził po schodach, a potem jak szedł korytarzem.

(Rose-ann, żeby przejść korytarz, robiła dwaście kroków, dziadek siedem długich kroków, a pan Faber osiem). Otworzyłam drzwi. Znajdek ocierał się swym rozczochranym ślicznym łebkiem o mój szlafrok. Pochyliłam się, objęłam jego kudłaty łeb.

— Jak się masz, mój najlepszy piesku — powiedziałam go.

— Hau, hau, hau! — odpowiedział Znajdek.

— Dobry dzień — wtrącił pan Faber.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oparłam się o pień mego ukochanego dębu... Tylko się nie rozplacz, nie płacz, Selino — powtarzałam sobie.

Jednakże zacząłam płakać. Płakałam bardzo cicho. Nie używam chusteczki, bo płakać bez lez. Potrzebna mi jest tylko przy katarze.

Pan Faber był bardzo zadowolony, że mógł mnie przeprowadzić tutaj, do parku. Był nawet, jak mi powiedział, „więcej niż zadowolony”.

Pan Faber poradził mi, żebym włożyła niebieską bluzkę, taka w białe kropki.

Nim wyszliśmy z mieszkania, ogarnięta jakąś desperacką nadzieją, poprosiłam pana Fabera, żeby się rozdzielił, czy nie zobaczy gdzieś moich okularów słonecznych. Były. Włożyłam je.

— Jak wyglądam, proszę pana?

— Och, wyglądasz ślicznie, wrostł prześlicznie!

Pomógł mi rozłożyć plezik. Ustawił pudełko z korallkami.

Znajdek też uznał, że to wyjątkowa okazja, to przyjdzie do parku. Wszedł i farzał się w trawie z uciechy. Pan Faber zdawał mi bez przerwy sprawozdanie z jego zachowania.

— ...Teraz na brzuchu... a teraz na grzbiecie... i znów na brzuchu... O, jak się tarza...

Śmiałyśmy się ze Znajdka, a on zupełnie jakby oszalał. Czulam się aż zaniepokojona. To niebezpieczne. Nigdy nie należy być zaniepokojonym.

Teraz płakałam, bo pan Faber zostawił mnie akurat w momencie, kiedy gdzieś daleko zegar wybił dziesięć razy. A nołem jeszcze raz wybił godzinę i jeszcze raz.

Było południe. Zostałam sama. Gordon nie przyszedł. Nie nadchodził. Czemu myślałam, że przyjdzie?

Wiedziałałam, że nie przyjdzie, również dobrze, jak to, że jestem niewidoma i robiłam sobie wyrzuty, jak mogłam sądzić inaczej.

Na jakiej podstawie uważałam, że będzie chciał znów się ze mną zobaczyć?

„Przechodzę tutaj codziennie” — powiedział. Świetnie! I co z tego? To przecież park. Ogromny park.

Przez kolejną godzinę nawlekłam korallki jak szalona, w następnej pracowałam już trochę wolniej, a w ciągu trzeciej godziny zrobiłam tylko dwa sznurki.

Lepiej sobie na razie dać z tą robotą spokój. Wyrastałam się i zaczęłam gwizdać. Gwizdałam moją najpiękniejszą melodię.

Gdy czuła Irlandczka się uśmiechnęła, Cały świat zdaje się jasny i wesoły...

Pomyślałam, że nigdy dotąd tak dobrze nie gwizdałam; nie mogłam wprost uwierzyć, że potrafię tak gwizdać. Nagle zdałam sobie sprawę, że ktoś gwizda razem ze mną. Czysto, melodyjnie i głośno. Przerwałam.

— Nie przerywaj, Selino — poprosił Gordon. Usiadł przy mnie. Słyszałam, że zaczyna segregować korallki.

Nie potrafiłam już gwizdać. Bo jakże mogłam? Gardło stało się jakby nie moje. Serce było pośpiesznie, delikatnym, cichymi uderzeniami.

— Halo, Gordon! — wykrzyknęłam.

— Halo! Jak się masz, moja śliczna! — odpowiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Płakałam w jednej minucie, śmiałam się w następną. Taka już jestem. To dzięki Gordonowi pracowałam tak szybko. Jak nigdy dotąd. Nie zdążyłam skończyć jednego sznurka, a już nawlekłam drugi.

— Ty nie masz pojęcia o nawlekaniu korallków — powiedział Gordon — Gdybym to robił przez tyle lat co ty, to bym cię porządnie zawstydzil. — Tak właśnie powiedział. Ale wiedziałam, że myśli co innego. „Jesteś bystra i mądra. Lubię cię. Lubię tak siedzieć z tobą w parku pod tym dębem. Lubię pomagać ci w nawlekaniu korallków. Uważam, że w okularach jesteś najpiękniejszą dziewczyną na całej kuli ziemskiej. Lubię cię naprawdę, Selino D'arcey”. — Nie miałam pojęcia, dlaczego jestem taka pewna, że znam jego myśli, ale wiedziałam, że tak jest. I dlatego roześmiałam się.

— Gordon — powiedziałam — Nie możemy nawlec zbyt dużo sznurków.

— Myślałam, że ci za to płacę.

— Tak, oczywiście. Naturalnie, że pan Faber płaci...

— No więc?

— Jak zrobię bardzo dużo przy twojej pomocy, to wtedy, kiedy ty mi nie pomożesz i nie zrobię tyle samo, będę miała nieprzyjemności — wyjaśniłam.

— Bardzo cię przepraszam — przerwał mi Gordon — ale czy ty do mnie mówisz?

— Tak.

— Wolno mi spytać, kiedy ostatni raz przebywałaś na wyspie Ple Ple? Dużo czasu upłynęło, odkąd tam ostatni raz byłam, toteż zupełnie zapomniałam tamtejszego języka. Czy mogłabyś mi to przetłumaczyć? — mówił takim poważnym tonem. Kiedy Gordon mówił tak poważnie, wiedziałam, że się uśmiecha. I ja uśmiechnęłam się do niego.

— Ależ, ależ, proszę pana — powiedziałam — W moim towarzystwie może pan odfiwodzić sobie w pamięci — wszystkie obce języki.

— Hai, hai! Kosakumari-masu — powiedział Gordon.

— Co? — spytałam zdziwiona.

— Nie powinnaś odzywać się w ten sposób „Co”? Należy powiedzieć: „Ślucham”? Odfiwodziłam sobie jeden z wielu znanych mi języków. Powiedziałam po japońsku: „Tak, tak, zrobię tak, jak mówisz”.

— Znasz japoński? — byłam szczerze zdumiona.

— Nie. Znam zaświeć kilka zwrotów. Parę słów po francusku, ale to paskudna francuszczyzna, oczywiście te słowa, które znam, kilka zwrotów po niemiecku i jeszcze w paru innych językach.

— Jesteś bardzo mądry — powiedziałam z dumą. Czulam się dumna mając przyjaciela, który zna tyle języków choćby nawet tylko trochę.

— Nie, wcale nie jestem mądry. To ty jesteś mądra, znając język z wyspy Ple Ple.

— Ja? Mądra?

— Tak, ty — przytaknął Gordon.

— Och, nie... — zaczęłam.

— Śmiesz się ze mną nie zgadzając? Jak możesz twierdzić, że moja przyjaciółka Selina D'arcey nie jest mądra? Wzywam cię i żadam, żebyś powiedziała, iż Selina jest mądra. No proszę, ślucham.

Zaczęłam się śmiać. Zależo się, że nikt chyba nie śmiał się nigdy tak jak ja tego dnia, tego drugiego dnia w parku z Gordonem.

— Nie śmiej się. Powiedz tylko: „Selina jest mądra”.

— Selina — śmiałam się — jest mądra.

— Dziękuję — powiedział Gordon. — Nie znoszę, gdy ludzie krytykują moich przyjaciół.

— Ja też. Jeżeli ktoś chce krytykować pana Fabera albo Znajdka czy ciebie, to niech ich lepiej Bóg ma w swojej opiece — powiedziałam njskim głosem.

— Czemu my jesteśmy tacy uprzywilejowani?

— Dlatego — odparłam — że ty, Znajdek i pan Faber jesteście moimi najlepszymi i jedynymi przyjaciółmi w świecie.

— Nie żartujesz?

— Nie.

— A więc aż do wczoraj pan Faber i jego pies, obdarzony tym niefortunnym mianem Znajdek... byli twoimi jedynymi przyjaciółmi?

Dalszy ciąg nastąpi

TRAKTAT O METODZIE

JERZY KATARASIŃSKI

I Na długo przedtem, zanim Konferencja się rozpoczęła, na jakieś pół godziny przedtem, a może i jeszcze trochę, no, z tydzień, dwa, zaczęły się rozchodzić pogłoski, że Prezes zamierza zrezygnować w ogóle.

Więc wokół twarze same zatroškane, albo wręcz przeciwnie, tak, jak to bywa wtedy, gdy zaczynają się rozchodzić pogłoski, lub — kiedy ktoś rzeczywiście zamierza zrezygnować. „Bolesne byłoby to uderzenie, ta rezygnacja Prezesa. Prezes bowiem jak nikt dbał o dobro Stowarzyszenia, jak nikt dbał o to, aby klimat był dla artystów ciepły, by zaczepiani nie byli przez nikogo artyści, przez recenzentów zwłaszcza,

nowicie szacunek dla artystów, a mianowicie szacunek dla teatrów, które państwowymi instytucjami są i państwo na nie łoży pieniądze, a mianowicie chodzenie nie tylko na przedstawienie, lecz i na próby generalne i wcześniejsze próby, bo człowiek zawsze się czegoś może nauczyć. Była to jedna z genialniejszych myśli Prezesa — tak ich omotać, zając, aby nie mieli kiedy pisać tych swoich wypocin. Było to dobre, było to taktyczne, nie popchnął Prezes takiego błędu jak inny Prezes innego Stowarzyszenia, który wprost postulował, by recenzje muzyczne pisał muzycy wskazani przez Stowarzyszenie, jak ten Prezes, co później mówili, że według niego najlepiej by było, gdyby każdy pisał recenzje o sobie, ze swoich występów, koncertów. Nie, nasz Prezes zawsze był comme il faut, zawsze w białych rękawiczkach zawsze wiedział, co, gdzie, komu i jak powiedzieć, inicjatywy różne hojnie rzucał, jak Łódźką Wiosnę Artystyczną na przykład rzucił. Mieli mu za zło co poniektórzy malkontenci, że rzuca te inicjatywy i rzuca, ręki do nich nie przykładając, ale powiedzmy sobie szczerze — ktoś jest od inicjatywy, ktoś od roboty — składanie wszystkiego na barki jednego człowieka, takie żądania, demagogia to czysta. Odwracał też Prezes umie-

Dalszy ciąg na str. 6



Dalszy ciąg ze str. 1

Edmund Tulko, który pełnił honory gospodarza, zapoznał przybyłych z historią i osiągnięciami największej łódzkiej gazety, poświęcając przy okazji wiele ciepłych, mądrych słów nagrodzonym działaczom społecznym.

W przemówieniu Bolesława Koperskiego, który zabrał głos w imieniu miejskiej i wojewódzkiej instancji partyjnej, znalazły się wyrazy uznania dla całego zespołu redakcyjnego „GR” i jego pięknych inicjatyw: „Dziękuję Wam za pracę, która jest pomocą w działaniu partyjnym — powiedział Bolesław Koperski. — Życzę Wam jeszcze lepszego



bilansu osiągnięć na przyszlorskich obchodach Święta Czytelników „Głosu Robotniczego”. Niech Wasza praca przynosi coraz większą satysfakcję wszystkim redaktorom, wszystkim pracownikom redakcji!”.

1.

A w dwie godziny później, mimo przenikliwego zimna i nawisłych chmur, które w każdej chwili groziły wielkim deszczem, rozpełtały się na ulicach wielotysięczne korowody — przemarsz oddziałów wojskowych, defilada kostiumowa, ruchoma rewia „Telimeny”, parada dychawicznych, rozklekotanych gratów samochodowych, które pośród licznie zgromadzonych wzdłuż Piotrkowskiej tłumów — budziły zarówno uśmiech jak i żądliwe szderstwo...

Około godziny osiemnastej rozpoczęła się wielka wędrownica tłumów na stadion LKS. Niewątpliwie piękne i barwne pokazy musztry artystycznej w wykonaniu orkiestr wojskowych były przecież dla zgromadzonych na stadionie ludzi zaledwie uwerturą...

Czterdzieści tysięcy widzów czekało na mecz!

Czterdzieści tysięcy widzów — snuło rozmaite przypuszczenia i stawało wielorakie horoskopy. Wygra, przegra, zremisują? Będą walczyć, czy też wystąpią w charakterze aktorów? Za zgodą organizatorów wpadło na murawę stadionu kilka futbolowych kapłanów w niesamowitych przebraniach. Zaczęli tuc głowa w ziemię, taczali się w trawie i wyciągać ręce do nieba. Ponieważ modły trwały dość długo, zaniepokojona widownia nie miała wątpliwości, że bóstwo nie daje się przekupić i będzie bardzo ciężki mecz.

Kiedy piłkarze wyszli wreszcie na boisko, kiedy zaczęli grać, stało się jasne, że nie przyszliśmy na spektakl teatralny. Już dawno

nie widziałem LKS w takiej formie. Prawdę mówiąc, od czasów, kiedy przestał grać Sadek, zdradziłem stadion przy Alei Unii na rzecz telewizji. Teraz znowu mam w LKS swoich cichych ulubieńców — Tomaszewskiego, Górskiego, który dyryguje zespołem z trenerskiej ławy, Bulzackiego... Dobrze się stało, że wygrali. Był to piękny prezent dla miasta i jednocześnie wspaniały akord „Głosowego” święta, które, w wypadku porażki, okryłoby się żalobą.

Chłopców z meczowymi transparentami można było spotkać późnym wieczorem pod Halą Sportową przy Alei Politechniki, gdzie wtopieni w wielotysięczną rzeszę miłośników tańca i beata aż do północy fetowali sukces swojej drużyny.

Zanotowałem dialog między kibicem sportowym i kibicem big-beatowym:

- Byłeś na meczu?
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie lubię sportu.
- Ale wygraliśmy!
- Co mnie to obchodzi.
- W czwartek też wygramy.
- Z kim?
- Z Ruchem.
- Z Ruchem nie wygramy.
- Skąd wiesz?
- Mój stary tak mówi.
- To twój stary lubi sport?
- Mój stary lubi.
- A ty pewnie nie lubisz, żeby mu zrobić na przekór, tak?
- Może i tak.

2.

Następnego dnia, w niedzielę, już przed dziesiątą łódzianie zaczęli gromadzić się w Parku na Zdrowiu, gdzie miał nastąpić dalszy ciąg „Głosowych” obchodów.

Jakkolwiek pogoda poprawiła się tylko nieznacznie, świątecznie wystrojeni ludzie nie mieli powodów do narzekania. Znalezli tutaj wiele atrakcji — kiermasze sprzętu sportowego, występy amatorskich i zawodowych zespołów estradowych, pokazy mody, stoiska z książkami i płytami, a także z wędlinami, pieczywem, owocami. Kto chciał, mógł kupić sobie marynarkę w stoisku miejskim, a stoisko wiejskie sprzedawało kosmetyki Yardieya... W zaimprovizowanych kawiarniach nie brakowało napojów chłodzących — inna rzecz, że było chłodno — kuchnia polowa dymila kielbaskami i bigosem, po które ustawiała się najdłuższa kolejka...

Konferansjer, który ogłosił w południe na głównej estradzie konkurs dla najmłodszych dzieci, miał poważne kłopoty z nadwyżką kandydatów — zaprosił na scenę dziesięć, a zgłosiło się ponad sto, przy czym chłopcy walczyli ostro z dziewczynkami za pomocą łokci i paznokci. Ponieważ nie było czasu na dodatkowe eliminacje, konferansjer — i jego pomocnicy zatarasowali drogę nadwyżce, wybierając z rozkrzyżowanej

gromadki dziesięć, które znalazły się najbliżej. W ten sposób obojętnie pięćdziesięcioletnia i siedmioletnie dziewczynki stanęły do konkursu z nagrodami dziesięćdziesięcioletnia, jak się patrzy rozwinięta panienka, odpowiadająca bezbłędnie na pytania:

- Jest w Łodzi Handlowy Dom Dziecka?
- Jest.
- Czy znajduje się on przy ulicy Piotrkowskiej?
- Tak.
- Czy można w nim kupić bučki?
- Można.
- A koszulki?
- Jeszcze jak!

Było na Zdrowiu dużo radości i śmiechu. Redaktor Łacnowicz całował się publicznie z Hanką Bielicką po dwudziestu latach rozłąki, a kiedy artystka dała mu swoje zdjęcie, przypatrujący się temu mężczyźni krzyknęli: „My też chcemy!” i artystka odjechała do Warszawy lepsza o kilkanaście zdjęć, ale za to cięższa o uczciwie zarobione honorarium.

W parku panował wzorowy porządek. Nie było awanturników ani pijaków, którzy często zakłócają tego rodzaju imprezy. Samochody czekały grzecznie w parkingach, nie wjeżdżając do środka, dzięki czemu swąd spalin nie mącił ludziom wypoczynku.

Ale nie brakowało także akcentów dramatycznych. Jakaś pani rozpoznała u jakiejś innej pani swojego zaginionego psa. Na wyścigach kolarskich dla dzieci niestowarzyszonych ojciec jednego z chłopców próbował zadenuncjować innego chłopca, który „peha się do wyścigu dla siedmiolatków, a już parę miesięcy temu — ja mu pokażę! — przekroczył ten wiek!”.

Dziewczynka, która ukończyła wyścig na drugim miejscu, przewróciła się poza linią mety, a ponieważ bieżnia pokryta jest ostrymi żwirami, doznała bolesnych kontuzji — pościerane do krwi kolana, potłuczona głowa... Nadzorujący tę imprezę redaktor „Głosu” zaalarmował lekarzę dyżurną, ta jednak bezradnie rozłożyła ręce.

- Niech pani zrobi jej opatrunek! — krzyczał dziennikarz.
- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Mam tylko proszki od bólu głowy oraz to i owo na dolegliwości żołądkowe, wie pan, dzieciaki najczęściej nie mają cierpia, bo jedzą agrest.
- Ale to jest wyścig kolarski — krzyknął dziennikarz i pobiegł szukać dla dziewczynki innej pomocy. Znalazł wóz pogotowia ratunkowego. Ale pusty. Wściekł się. Na cisnął kilkanaście razy na klaskon i z ulgą zobaczył, że z krzaków wynurza się jakiś człowiek.
- Jest pan lekarzem — spytał dziennikarz.
- Nie. Jestem kierownicą.



Fot. J. Głowacki

- A gdzie lekarz?
- Nie ma. Powiedzieli, że bym jechał bez lekarza.

Był to jednakże niewinny incydent. Dziewczynka szybko wróciła do zdrowia, odbierając z rąk organizatorów specjalną nagrodę, a publiczność nagrodziła ją rzeszistymi oklaskami za męstwo...

3.

Fotoreporter „Dziennika Łódzkiego”, Andrzej Wach, który niedzielną wieczór spędzał pracując w Piątku, twierdzi, że w tym sympatycznym, oddalonym o czterdzieści kilometrów od Łodzi miasteczku dokładnie było widać lunę szalejących na Zdrowiu sztucznych ogni.

Spytałem Wach, czy kojarzył to ktoś z pożarem, a Wach powiedział, że nie — wszyscy wiedzieli, że to fajerwerki na cześć „Głosu”, który w tym roku obchodził swoje święto nie tylko w granicach wielkiej Łodzi, ale również w wielu miastach powiatowych — Tomaszowie Mazowieckim, Sieradzu, Kutnie, Wieluniu i Wieruszowie.

Myślę, że jest to bardzo pożyteczna i potrzebna inicjatywa, dzięki której można nie tylko upowszechnić czytelnictwo, lecz także zdynamizować trochę atmosferę w mieście i województwie. Nawyk wspólnej, powszechnej zabawy, potrafiący prze-

kształcić nudne dni świąteczne w huczną, podobnie karnawałowi widowisko, jest w naszych stronach nieznaną, a przecież już teraz sprawia tysiącom ludzi masę radości.

Na zakończenie chciałbym wyrazić nadzieję, że za kilka lat Święto Czytelników „GR” — gazety, która wyłansowała ideę budowy Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu — przebiegać będzie w piękniejszej niż dotąd scenarii. Doceńmy wprawdzie trud organizatorów, ale nie będą płakać, jeśli znikną owe parujące zapachem bigosu kuchnie polowe (na rzecz prawdziwych restauracji), kolejące się na trawie stoliki i bufety (na rzecz prawdziwych kawiarni), samochody wyładowane coca-cola (na rzecz kiosków), zbite z desek stoiska (na rzecz stacjonarnych pawilonów), malarskie sadzawki i stawy (na rzecz basenów) itd., itp...

Coś mi się ponadto zdaje, że dziennikarze „Głosu” zbyt często muszą wyręczać podczas swojego święta wiele miejskich przedsiębiorstw, urzędów i instytucji, które — jak na przykład „handel” — tanim kosztem robią dzięki gazecie znakomite interesy, a myni mają przy tym takie, jakby przede wszystkim robiły łaskę.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TRAKTAT O METODZIE

Dalszy ciąg ze str. 5

jętnie uwagę, a to dla dobra Stowarzyszenia, od wszystkiego, co mogłoby o nim, o Stowarzyszeniu, że świadczyć, a choćby tylko wątpliwości nasuwać. Od tych gadań o poziomie artystycznym teatrów, od tych szkalujących dobre imię artystów pomówień o chałturze, chałturzenie. Traktował to po prostu jako swój obowiązek, aby mówić wszem i wobec, że dobrze

jest. Fakty, daj pań spokój, nie bądź pan demagogiem...

Tak sobie słuchałem i słuchałem rekolekcji, co szczerze były, albo i nie, jak to na Konferencjach nie raz bywa, jednego wszakże pojąć nie mogłem — czemuż to o Prezesa mówi się w czasie przeszłym. Jakby to nie żywy człowiek był, co to nie jedno jeszcze wywinąć może.

W każdym razie w tych płołkach straszliwych, w tych spiskach potwornych,

rozsnutyh cienką nicią nad głowami Delegatów, rozpoczęła się Konferencja. A powiedzmy sobie szczerze, nie chodziło o Prezesa, Prezes to symbol. W gruncie rzeczy chodziło o to, czy Stowarzyszenie będzie mogło urzędować spokojnie, czuwając nad tym, aby artystyczny trudem, czy też — wstrząśniętym nim kataklizmem zmian, pomysłów jakichś, czy idei nonsensowych, z całym tym gadaniem o stagnacji, lenistwie umysłowym, konformizmie itd.

Rzecz całą należało tedy tak przeprowadzić, aby niemożliwą stała się dyskusja nad zasadniczymi jakimiś sprawami, tak wszystko pomieszać, mólważne z ważnym, aby ważne wydało się mólważne, mólważne — ważne i aby broń nas Prezes, nie wyszło najważniejsze, to znaczy teatr, bo wtedy Prezes tylko wie, dokąd by to mogło zaprowadzić.

Więc najpierw w sprawozdaniu Zarządu było o tym, że w terenie gra się w fatalnych warunkach, póź-

niej, że aktorzy społecznie dużo pracują: w dubbingu i w radio jest serdeczna atmosfera, z tym, że w dubbingu mało płacą, a w radio mało jest teatru; w estradzie też mało płacą; Prezydium Zarządu odbyło 1234 posiedzenia i 724 wizyty, wysłano 127 tys. listów (za liczbę nie odpowiadam, być może coś mi się pokręciło) oraz 21 wniosków; sporządzono memoriał o stanie teatrów miasta i Ziemi Łódzkiej; w Teatrze Telewizji było bardzo źle, ale już jest lepiej, tyle, że warunki fatalne, zapomniano o garderobach, a tymczasem redaktorzy sobie siedzą po pokojach, jak gdyby nie mogli gdzie indziej pisać.

W dyskusji wszystko poszło zgodnie z planem. Kontrowersja na temat restauracji Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych — jest miejsce artysty w bufecie, czy też nie, jeśli tak, to dlaczego, jeśli nie, to dlaczego.

Tymczasem Komisja Wyborcza zgłosiła kandydatów do nowego Zarządu i poczęto pytać kandydatów, czy chcą.

Wtedy też rozegrała się najbardziej dramatyczna ze scen Konferencji.

Prezes mianowicie oświadczył, że nie zamierza kandydować.

Wtedy spytano Go dlaczego. Prezes wtedy odpowiedział, że...

Wtedy spytano Go dlaczego. Prezes wtedy odpowiedział, że...

Prezes mianowicie oświadczył, że nie zamierza kandydować.

Wtedy spytano Go dlaczego. Prezes wtedy odpowiedział, że...

Prezes wtedy odpowiedział, że...

Wielkie kompleksy leśne Radomszczańskie sprzyjały rozwojowi ruchu partyzanckiego. W czerwcu 1943 r. wyruszył z Radomska 7-osobowy oddział Gwardii Ludowej im. gen. J. Bema, którego dowódcą został Czesław Kubik, ps. „Paweł”, były członek KZMP i KPP. W ciągu lata i jesieni nastąpił poważny wzrost liczebny oddziału, złożonego w większości z robotników fabrycznych i gwardzistów z okolicznych wiosek. Przekształcił się on wkrótce w batalion GL. Do gwardzistów dołączył oddział „Jaszy”, Jakuba Salnikowa, lejtanta radzieckiego, który zbiegł z niewoli niemieckiej.

Szczególnie ożywną działalność dywersyjną prowadził batalion w 1944 r. Z okazji 1 Maja partyzanci dokonali szeregu akcji bojowych i propagandowych. W kilku miejscach rozkreślił szny koleje na szlaku Radomsko-Plotrków i Radomsko-Czestochowa, ścilił ponad 100 słupów telegraficznych, rozlepili ulotki i plakaty. W czerwcu opanowały stacje kolejowa Teklinów (powiat radomszczański) i ostrzelali do ciał osobow, wiozący żandarmów niemieckich na akcie pacyfikacyjna. Akcjami batalionu lub poszczególnych jego grup dowodzili w tym

tallon, pod dowództwem Czesława Kubika operował w pow. radomszczańskim, dokonując akcji dywersyjnych głównie na linii kolejowej Czestochowa-Radomsko. Drugi batalion dowodzony przez Jerzego Stelaka, wyruszył w lasy piotrzkowskie i atakował linie kolejowe Radomsko-Koluszki. Trzeci batalion w niedługim czasie wyruszył w rejon Podhala.

W nocy z 10 na 11 września 1944 r. Brygada przybyła do wsi Ewina. W rejonie tym dokonywano zrutu sprzętu i ludzi, lub również odbywała się dalsza organizacja brygady. Partyzanci przez rozpo-

NIE TYLKO POD EWINĄ

okresie: **Bolesław Boruta „Hanicz”** — ówczesny dowódca, **Jerzy Stelak „Kruk”**, **Jan Stepnik**, **Czesław Kowalezyk**, **Czesław Kubik**, **Jakub Salnikow** i inni.

30 lipca 1944 r. batalion, który tego właśnie dnia otrzymał sztandar, ochraniał posiadzenie Łódzkiej Wojewódzkiej Rady Narodowej, odbywające się w gaju we wsi Ojrzeń. W czasie obrat do pobliskiej wsi Wygodna wtargnął duży oddział esesmanów i rozpoczął grabież, podpalając przy tym zabudowania wsi. Zatakował ich pluton AL pod dowództwem „Jaszy”, przybył też z pomocą grup dowodzonej przez Jerzego Stelaka i Czesława Kowalezyka. Hitlerowców odparł, umożliwiając uczestnikom posiadzenia wycofanie się z gaju.

W sierpniu batalion został przekształcony w III Brygadę AL im. J. Bema. W niedługim czasie oddział ten brygady wraz z oddziałem radzieckim **Anatola Niewojta**, przyjęli grupę pięciu komunistów niemieckich, przybyłych samolotem ze Związku Radzieckiego. Grupa ta na polecenie Narodowego Komitetu „Wolne Niemcy”, który powstał w ZSRR, udawała się do Rzeszy z zadaniem organizowania ruchu antyhitlerowskiego. Z tej grupy **Josef Gleffer** i **Rudolf Gypner** zgineli 23 listopada w Pawonkowie pow. Lublinski, natomiast pozostałi trzej ich towarzysze wrócili, po udziale w paru walkach, do rejonu czestochowskiego.

W początkach września, na prośbę dowództwa III Brygady, Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich wysłało z Lublina grupę 12 oficerów, którzy zrzucony zostali koło Ewiny. Tei samei nocy brygada, która liczyła w tym czasie 531 żołnierzy w tym 21 oficerów, otrzymała zrzut broni. Dowódcą brygady został kpt. **Bolesław Boruta**, jego zastępcą **Zygmunt Skutek**, szefem sztabu **Stanisław Hanysz**. Zorganizowano 3 bataliony, które prowadziły szerokie akcje dywersyjna, atakując przede wszystkim magistralę kolejowa Katowice — Warszawa. Pierwszy ba-

znanie ustalili, że Niemcy gorączkowo przygotowują duże siły do pacyfikacji, ściągając oddziały policijne i wojskowe z Czestochowy, Piotrkowa, Radomska, Włoszczowy i Kielc.

Hitlerowcy, którym nie udało się zaskoczyć partyzantów, skoncentrowali kilkanaście tysięcy wojska i żandarmów, wprowadzając do akcji czołgi, samochody pancerne i samoloty. Ostrzeliwali las z moździerzy, posuwali się lasami i dukdami, umacniali na zajętych terenach.

Okolo godz. 9 doszło do pierwszego starcia w rejonie Cielżkowa. Pierwsza kompania, wskutek zdecydowanej przewagi nieprzyjaciela, zmuszona była wycofać się z zajętych stanowisk do Ewiny. W innym rejonie, w pobliżu wsi Wyłnicie, rozpoczęły walkę siły z pierwszego batalionu, dowodzone przez Czesława Kowalezyka. W innym rejonie obrony, niedaleko gajówki, hitlerowcy natrafili na silny opór batalionu „Pawła” i jednostki sztabowej. Jednakże pod ogniem broni maszynowej i granatników partyzanci rozpoczęli odwrót, prowadząc jednocześnie ogień na posuwających się esesmanów.

Kolo godz. 22 poszczególne jednostki brygady zebrały się w umówionym rejonie. Hitlerowcy w czasie walki stracili 100 zabitych i 200 rannych. Na miny partyzanckie należało kilka samochodów, przy czym zginęła grupa oficerów niemieckich. Straty własne brygady wynosiły 12 zabitych i 11 rannych żołnierzy. Pod osłoną nocy brygada wyruszyła, ciągnąc woz z rannymi i sprzętem, na zachód, w lasy koło Kruzyny.

Bój pod Ewiną był jedną z największych i najkrwawszych w województwie łódzkim bitew między oddziałami AL i okupantem.

Dziś pod Ewiną na polanie wśród lasów na skraju wsi, wznosi się strzelista pomnik ku czci poległych żołnierzy Armii Ludowej.

STEFAN FIJAŁKOWSKI

dział, że dla dobra Stowarzyszenia.

Wtedy spytało Go, co przez to chce powiedzieć.

Wtedy Prezes odpowiedział, że wydaje mu się, iż w ostatnim czasie jego osoba nie uzyskuje tego typu aprobaty, jaką powinna mieć osoba reprezentująca Stowarzyszenie, ale że odrębną sprawą jest dlaczego tej aprobaty nie uzyskuje...

Wtedy, rzecz jasna, zapanaowało ogólne wzburzenie i pole do domysłów oraz podtekstów.

Jeden Delegat wstał i powiedział, że sami artyści wybierają swój Zarząd.

Jeszcze inny Delegat wstał wtedy i powiedział, że dla dobra Oddziału Prezes powinien się poświęcić i kandydować.

Wtedy Prezes wzruszony zgodził się, aby jego nazwisko powtórnie pojawiło się na tablicy.

IV Po czym, w ogólnym wzburzeniu przystąpiono do wyborów.

V Zanim Konferencja się skończyła, głos zabrał Prezes Prezesa.

Trzeba tu sobie szczerze powiedzieć, że zupełnie nie o to propos i zupełnie nie w tonie Konferencji.

Prezes Prezesa mówił bowiem m. in. o tym, że (cytuje):

„Jeżeli chcemy uzyskać miano twórców, musimy udowodnić, że zasługujemy na ten tytuł. To znaczy żyć, zachowywać się w taki sposób, który umożliwi namiętnie, autentycznie, prawdziwie, pokazywanie tego wszystkiego w zawodzie, co

„Pojedziemy na łów...“

O myślistwie i literaturze
z EDWARDEM KOPCZYŃSKIM
rozmawia Konrad Frejdlich

— Myślistwo jest tak stare jak ludzkość i choć utraciło swoje dawne znaczenie wciąż jeszcze ma licznych zwolenników. Ma także przeciwników. Jako autor poczytnych ksiązek o tematyce łowieckiej musiał się Pan nieraz zastanawiać nad kontrowersyjnością opinii o ulubionej przez Pana dziedzinie...

— Myślistwo ma rzeczywiście wielu entuzjastów, choć równie często słyszy się głosy, że nie da się pogodzić z potrzebą ochrony naturalnego środowiska człowieka. Rozumiem te obawy, ale przypuszczam, że ich źródłem jest głównie niewiedza o sprawach łowieckich, a zwłaszcza o tym, jak te sprawy wyglądają w naszym kraju. Współczesny myśliwy jest przecież raczej obcońcą przyrody niż jej niszczyicielem. Mam na myśli czynną ochronę gatunkową zwierząt, która jest podstawowym obowiązkiem myśliwego. W tej dziedzinie Polski Związek Łowiecki, który powstał pięćdziesiąt lat temu i cieszy się zasłużonym autorytetem na świecie położył ogromne zasługi, a nasze doświadczenia stały się wzorem dla innych krajów.

— Jakże są te doświadczenia?

— Wyposażone w rzetelną wiedzę przyrodniczą, łowiectwo w Polsce, wypracowało cały system czynnej ochrony gatunkowej. Zwierzęta rzadkie czy też szczególnie pożyteczne podlegają całkowitej ochronie i nie mogą stanowić trofeów myśliwskich. Chronione są także inne gatunki, na które można polować tylko w określonych okresach. Tak na przykład do zwierzyny pbowej można strzelać tylko w jesieni, okres jesienno-zimowy jest czasem polowań na zające. Dodajmy zresztą, że polowania odbywają się w wyznaczonych łowiśkach, gdzie koła łowieckie wykonują cały szereg zadań mających na celu zachowanie zwierzostanu, przede wszystkim licznym gatunkom zwierzęcym przychodzi się z pomocą w najtrudniejszych okresach. Zwierzęta są dokarmiane, chroni się je przed drapieżnikami a także przed kłusownikami, których niestety nie brak. Myśliwi dbają także o zachowanie substancji lasów, którym wobec postępów industrializacji grozi zagłada na równi ze zwierzyną, wnosząc bezsporny wkład w ochronę naturalnego środowiska człowieka.

— Czym Pan wytłumaczy fakt, że ta strona działalności Polskiego Związku Łowieckiego jest stosunko-



do przekonania, że etyczny myśliwy jest na co dzień najbardziej wypróbowanym przyjacielem zwierząt. Choćby po to, aby młodzi ludzie nie sadzili spożywając comber zajęczy czy sarninę, że ktoś popełnił przestępstwo. Może najpełniej udało mi się przedstawić te sprawy w powieści „Bedę oral śnieg”, gdzie gromadka dzieci z wiejskiej szkoły zachęcona przykładem myśliwych, współdziałając z nimi rozpacza opiekę nad zwierzętami leśnymi i polnymi, którym zagroził głód w okresie ciężkiej zimy. Sa to sytuacje dość często powtarzające się w życiu. Ale sprawy te poruszałem także w innych swoich książkach, w trylogii „Kłusownik chodzi nocą”, „Ślady na śniegu” i „Egzamin łowiecki”, wznawionej pod wspólnym tytułem „Przygody łowieckie”, oraz w wydanym ostatnio „Młokosie”.

— Wspomniał Pan „Przygody łowieckie”. Tym, co pociąga młodzież w myślistwie jest chyba właśnie element przygody, ryzyko i niebezpieczeństwo na jakie, mimo swojej przewagi, jest często wystawiony myśliwy?

— Myślę, że równie pociągająca jest w myślistwie możliwość poznania natury, czynnego poznania natury, bo jak wspominałem w naszym hobby potrzebna jest rzetelna znajomość wiedzy przyrodniczej. Ale i przygoda odgrywa istotne znaczenie. Co prawda najbardziej niebezpieczna przygoda myśliwska, jeśli się lak można wyrazić, spotykała

mnie nie na polowaniu, tylko za kierownicą samochodu. Wracałem właśnie ze spotkania autorskiego, był wieczór i w świetle latarni zobaczyłem przebiegającą przez zose sarnę. Zwołnilem. Nagle z przydrożnego żyta wybiegl wprost pod samochód rogacz. To trwało dosłownie ułamek chwili, znalazłem się w rowie. Kiedy wyostałem się z auta, dostrzegłem dogorywającego w tym samym rowie rogacza.

— A jakie ze swych doświadczeń pisarskich uważa Pan za najcenniejsze?

— Cóż, piarstwo jest sumą doświadczeń i chyba trudno byłoby mi któreś szczególnie wyróżnić. Myślę jednak, że duże znaczenie w mojej drodze do literatury odegrał zawód, który wykonuję już od 23 lat. Jestem lekarzem-stomatologiem, pracuję w terenie i obowiązki lekarskie ułatwiają mi poznanie coraz nowych ludzi, poznawanie coraz nowych spraw. Co prawda medycynie poświęciłem tylko jedną swoją książkę.

— Ma Pan na myśli powieść „Intruz”, której przyznano niedawno nagrodę Im. Boya-Zeleńskiego?

— Chodzi rzeczywiście o „Intruz”, którym chciałem przypomnieć, że na co dzień jestem lekarzem. Myślę, że niemam wplyw na moją drogę do literatury miało również to, iż urodziłem się i całe życie spędziłem w Łodzi. Zadebiutowałem przedtym powieścią pt. „Trudne edukacje”, której akcja toczy się w międzywojennej Łodzi. Również druga moja książka „Drogi łączą się w lesie” jest powieścią o Ziemi Łódzkiej. Ukazałem tam m. in. narodziny władzy ludowej oddając atmosferę pierwszego posiadzenia konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Ojrzeńcu w 1944 r.

Wracając zaś do spraw myśliwskich pragne dodać, że łowiectwo ma wiele wspólnego z piarstwem. Każda wyprawa do lasu jest przecież kolejną przygodą, kolejnym ryzykiem. Tyko satysfakcje są inne.



„Znaki drogowe dzielą się na trzy kategorie: znaki ostrzegawcze, znaki wyrażające zakazy lub nakazy, znaki zawierające informacje... Znaki drogowe dzielą się na trzy kategorie: znaki ostrzegawcze, znaki wyrażające zakazy lub...
— Nudne, jak flaki z olejem i przez to nie chce twojej mamie wchodzić do głowy — tłumiając śmiech skomentowała Baśka.

— Mam lepszą od niej pamięć. Dwa, trzy razy powtórzę i umiem, a ona jeszcze musi walczyć i walczyć. Każdą, najmniejszą część, jaką ma człowiek w środku, zna na pamięć, a za nie może zapamiętać budowy silnika, choć w silniku mniej części niż w czółwieku. Wiesz, co to jest pojazd samochodowy? Postuchaj: pojazd samochodowy oznacza pojazd napędzany umieszczonym na nim silnikiem zasilanym z własnego źródła energii, nie biegnący po szynach z wyjątkiem motorowaru i maszyn samobieżnej. Widzisz, jaka jestem uczona?

— Po co się uczyć takich głupot?
— No wiesz! Gdyby mamę na egzaminie o to zahaczył i nie wiedziała, to guzik z prawa jazdy! Cały kodeks drogowy trzeba znać na pamięć, a to kobyła taka jak książka do matmy!

— Kiedy twoja mama kupuje samochód?
— Bierze moskwicę od taty, bo on dostał nagrodę, za jakiś wynalazek i fundnął sobie fiat. To taki handel wymienny... Mama bierze samochód, a w zamian, na jakiś czas, zrzeka się forsy na mnie. Ale kończmy lejby, bo tylko patrzeć, jak się Leszek zwali.

— Znaczy... ten samochód to jakby twój?
— Coś ty! Jak dorosną fundnę sobie tego małego fiacika

DOROTA CHRÓSCIELEWSKA

KOSYNIER

I będę nim pruć na leb na szyję! Uwielbiam szybką jazdę! O, proszę, o wilku mowa, a wilk tu! — zawołała Elka na widok Leszka.

— Cześć! Kreslicie plan rozlepiania zaproszeń konkursowych? Ciekawość mnie rozpiera, jakie będą jego efekty? — Leszek ma dziwne przezwyciężenie: mówiła, tak zamaszyc macha rękoma, jakby jakieś niewidzialne zjawy usłuszał od siebie odpędzić.

— Aha, plan, ale odsieczy wiedeńskiej — bąknęła Elka.
— Przyspieszcie zdobycie Wiednia, bo jak się będziecie gudzrali, to nasi z przemęczenia gotowi skapitulować.
— Jesteś stuknięty! Czy w ogóle wiesz, kto to był król Sobieski? — obruszyła się Elka.

— A tyś rapiem taka bojowa, jakbyś im w tym zwycięstwie pomagała — odciął się Leszek, ale po chwili dodał już normalnym, trochę nawet jakby sciszonym głosem. — Jedźcie ze mną do miasta. Zafunduję wam taksówkę!

— A Dąbrowa to wieś? — zaprotestowała Baśka.
— Tak mi się jakoś palnęło! Uwijał się. Czas to pieścić, jak powiedział kiedyś, nie wiem kto. Ja się pod tą jego złotą myślą nie podpisuję! Czasu mam sporo, a pieńdzy co koł naptakał.

— Nie płeć głupot! Lepiej powiedz gdzie twoje słowo?! Obiecałeś dziś przepisać na maszynie kilka zaproszeń. Rysiek już ponad się napisał.

— Jak powiedziałem, że napiszę to napiszę! Ale najpierw muszę wskoczyć na parę minut do środka.
— Ale po jakie licho i my mamy się tam lue? — próbowała oponować Elka.

— Nie pożałujecie. Przejrze „Ekran” a wy kończcie ten swój historyczno-naukowy plan! — nie przestawał kpić.
— Wlecie czym się różni skowronek od?... Ze ma nóżkę dłuższą niż...
— Zapomniałeś dodać, w którym miejscu należy się śmiać — nie odrzucając oczu znajd zeszły burknęła Elka.

— Śmiech to zdrowie, więc od początku do końca! Spieszcie się, zaraz musimy ruszać, bo słońce może zastrajkować, a ja muszę pstryknąć tam parę zdjęć. Bez stońca nie wyjdą!

— Nie mogę jechać! Jeszcze mam nawet nie licząc — oświadczyła Baśka.

— Mówię ci, że nie będziesz żalowała, a matkę zdążyś zrobić.

Na postoju taksówek Baśka z przerażeniem myślała o tym, że mogą ją zobaczyć jacyś znajomi rodziców.

— Ale bomba! — zawołał Leszek, kiedy nadjechał szary fiat.

— Dobrze nam się trafiło — powiedział do kierowcy po uprzednim podziwieniu go. — Ci przed nami takim rozklekotanym wartburgiem musieli jechać, aż strach.

— Kawaler to chyba nie tutejszy. Co prawda dopiero od miesiąca mam taksówkę, ale rzadko mi się zdarzyło spotykać młodzieńca w tym wieku, co kawaler, żeby i „dzień dobry” powiedział i wyraz „proszę” byłby mu znany.

— To dlatego, proszę pana, że pan wozi takich na bańce, a jak ktoś pije wódkę, to w ogóle nie wie co mówi.

Baśce wreszcie rozpiął się język.

— Ten okrągły, czerwony znak z białą, szeroką, poziomą krechą, to zakaz wjazdu wszelkim pojazdom. — Elka popisywała się znajomością znaków drogowych.

— Prędzej ja założę na księżycu filię LKS niż ty zrobisz prawo jazdy — żartował Leszek.

— A co kawaler myśli, to całkiem możliwe, że i tam będziemy kopać piłkę. W Ameryce już zapisują na wycieczki do posiadłości tego wasilatego szlachca, jak mu tam... Twardowskiego — włączył się do dyskusji kierowca.

— Ale musi pan sobie sprawić przyciemnione okulary, bo tam gwiazdy jak nasze neony oślepiają. — Doradzał Leszek kierowcy.

— A to się udało kawalerowi, nie ma co! Nasze neony oślepiają?! Żeby kawaler widział w Paryżu czy w Nowym Jorku... Tam dopiero są neony!

— Pan tam był?

— Mało to widziałem filmów francuskich czy amerykańskich?

Kiedy wysiedli, Leszek z niespotykaną u niego powagą, zaczął pouczać koleżanki:

— Nie oddalajcie się ode mnie! Nie reagujcie na zaczepki! A teraz szeroko otworcie oczy.

Z trudem przedzierali się przez kordon mężczyzn oblegających kiosk z piwem i kielbasą z rożną. Któryś z piwoszy, niechcący potrącony przez Elkę obrzucił ją sękiem epitetyw nie nadających się do powróżenia.

— Zwiewajmy! Ten grubas już szykuje się do bicia tego młodego chłopaka! — dygotała ze strachem Baśka.

— To jego syn — powiedziała stojąca tuż za Leszkiem kobieta z dzieckiem na rękę. — Pewnie chce go zaciągnąć do domu.

— Brrr! Nie mogę na to patrzeć! Okropieństwo! Spływajmy, bo i my oberwiemy guza! — zawołała przerażona Elka.

— Nie okropieństwo, tylko twoje miasto w naturalnym obiektywie! Piękne kwiaty, wspaniałe rabatki, ukwiecone balkony i ten oto obrazek! Zestawienie słonecznego, majowego dnia z nocą wyjąca jesiennym tępami! Bujda, że nie ma u nas biednych dzieci! Ze chleba dla wszystkich starca!

Dzieci tych tu różnych, nie raz na pewno głodne idą spać! Pиво kosztuje nie drogo, ale to się na piwie dopiero zaczyna, potem wino, wódka, a na zakończenie Izba Wytrzeźwień. To wszystko kosztuje. Co z tego, że chleb jest tani, kiedy już na niego nie ma grosza!

— Święta racja! — westchnęła tuląc do piersi dziecko, stojąca obok kobieta.

Baśka nie mogła pojąć skąd nagle taka ogromna zmiana w Leszku? Nigdy go nie widziała ani nie słyszała tak wzruszająco mówiącego. Zawsze jej się zdawało, że ma w głowie przewrócone, że jest rozpięszczony i myśli wyłącznie o sobie.

— ...Zwróćcie uwagę na aptekę... Czy akurat w tym palacyku powinna się znajdować? Czy ten palacyk to nie wymarzone miejsce na przedszkole, żłobek?... Ogród, piękne drzewa, wymarzone miejsce dla dzieciarni. Przejdźmy na drugą stronę. Muszę objaśnić całość, łącznie z apteką, szaletem, kioskiem ruchu i toto-łotka no i z tym piwnokielbasianym. Ja bym tego, co zezwolił na lokalizację tego wszystkiego obok siebie...
— Co z ciebie nagle taki naprawiacz cudzych błędów? Zaczynaj lepiej od swoich! — Elka dość już miała, i tego widoku, i turkotu tramwajów, i pędzących w obu kierunkach samochodów, i unoszących się spalin. W głowie ją lupala, jak kiedyś po zbyt długim plażowaniu w Ustce.

— Cudze błędy są bardziej widoczne! — Baśka stanęła w obronie kolegi.

— Na adwokata nie mam forsy! — odciął się Leszek.

— Powiedz chociaż, po licha, nas tu ciągniesz? — piekliła się Elka.

— Żebyście zobaczyły nowe zabytki starej Łodzi. Ja przy okazji pstryknęłam parę zdjęć na konkurs fotograficzny pt. „Łódź jakiej nie znamy”. Gdybym zdobył jakąś nagrodę, sprawa znaczków i kopert na te zaproszenia, bo niektóre trzeba wysłać pocztą, po prostu dla podniesienia powagi tej naszej świętej imprezy, byłaby rozwiązana... w domu, gdybym poprosił, oczywiście daliby forę, ale to nie to samo, co własne, przez siebie zarobione... A teraz możemy już wracać do swoich marzeń o czarodziejskich ogródkach.

— Ja bym pod tym kioskiem wylała sto! tysiąc albo i więcej butelek azotoku albo czegoś jeszcze bardziej zajeżdżającego! — Elka już zupełnie nie panowała nad głosem.

— Mimo wszystko to ulica, nie jarmark! Mów pół tonu niżej, bo jeszcze nas cupną za zakłócanie spokoju. To by był ubaw! Może by nawet w gazetach o nas napisano?! A teraz wsiadamy w czwórkę i za dwadzieścia minut będziemy w Julianowie! Pokażę wam pomnik kosyniera.

Baśka zrobiła niemądrą minę, stowem jednak nie zdradziła, że tyle lat mieszkała w pobliżu parku, a na oczy nie widziała tego pomnika, nawet o nim nie słyszała. Nie raz z przerywanymi z ojcem nad stawem, gdzie przed wojną stał piękny pałac, w którym w 39 roku mieścił się sztab wojska polskiego. We wrześniu Niemcy zbombardowali pałac. Pod jego gruzami kilku oficerów i żołnierzy poniosło śmierć... Dzień na tym miejscu stoi niewielki obelisk poświęcony poległym. Dziwnie, bo ani Jacek ani Tomek też nigdy nie wspomnieli o tym pomniku a oni park znali jak własne podwórko. Latem, dzień w dzień przesiadywali tam godzinami nad stawem.

W czwórce był istny magiel i ducha jak w czasie spektaklu w bukiwińskim kinie. Dopiero przy Limanowskiego rozluźniło się nieco. Kiedy wjechał w Zgierską, tramwaj zaczął koleysać i podskakiwać, jakby go nagle febra chwyciła. Od tego koleysania Baśka zrobiła się biała jak kreda. Było jej niedobrze. Trzech rzeczy panicznie nie znosi: jazdy windą, zwłaszcza szybkojeżdżącą, jak ta w Pałacu Kultury, kręcenia się na karuzeli i jazdy ostatnią przyczepką tramwaju.

— Spójrzcie na ten bombowy budynek! O, tu, na prawo — zawołał Leszek przypłaszczając nos do szyby. — To Instytut Skórzany.

— Teraz będzie Stefana, prawda, proszę pana? — wydukała z trudem Baśka do konduktora.

— Jak tylko sięgam pamięcią, nigdy inaczej się nie nazywała — przytaknął konduktor z uśmiechem na ogorzalej twarzy.

— Powiedzieć mi czy nie, że tu, niedaleko parku, jest mój dawny dom? — bila się z myślami Baśka, kiedy wysiedli na krancówce. — A jeśli Leszkowi się nie spodoba i będzie się z niego nasmiewał... i z podwórka...
Przeszli koczki lby Zgierskiej i znaleźli się w parku.

— Ale obledny staw! Ładniejszy niż na Młynku! Zielony jak smaragd! W życiu takiego nie widziałam! — zachwyciła się Ela. — Te sunące po wodzie labędzie wyglądają jak zaczarowane. Kiedyś, bardzo dawno, czytałam bajkę o pewnej księżniczce, która nie chce poślubić pewnego tyпка, w białej, ślubnej sukni, takiej z tysiącem koronek i falbanek rzuciła się do wody... Nie uratowano jej, bo stukniętej służbie nie przyszło do głowy, że ten piękny, puszysty, biały ptak to zaczarowana księżniczka...
— Trzymajcie mnie, bo zemdleję! Rany Julek, ale to smutne! — parskał śmiechem Leszek. — Dostosy na dzisiaj wydziwiania. Ruszamy!

Kiedy zbliżyli się do wielkiego gazonu, który grupka kobiet uzupełniała czerwonymi kłozami, Leszek zapytał o pierwszą z brzegu w niebieskiej apaszce w białe grochy na głowie:

— Proszę pani, w której stronie parku znajduje się pomnik kosyniera?

— Wstyd o tym nie wiedzieć — odparła kobieta z wymówką. — Cały świat wie, że w Radogoszczu, za cmentarzem... Tam przecież Niemcy żywcem spalili więźniów.

— To, oczywiście, wiemy... ale nam chodzi o pomnik powstańca z 1863 roku... Kosyniera... No... takiego mężczyzny z kosa...
— A to dobre! Ha! Ha! Ha! — rozległ się za ich plecami tubalny śmiech. — Musicie iść tą alejką wzdłuż stawu a potem skręcić w lewo, w kierunku Alei Róż — już zupełnie poważnym głosem tłumaczył im nieznajomy. — Tam właśnie rośnie KOSYNIER! Bo to, moi mili, nie żaden pomnik, tylko stary, wielki dąb, pod którym ponoć w 63 roku zbierali się łódzcy powstańcy z kosami... Na tę właśnie pamiątkę tak go ochrzczono... A przy okazji zwróćcie uwagę na jody kalifornijskie, buki czerwonościenne, limby...
— I eisy, i te liny białe, prnie kierownika, warto, żeby zobaczyli — dodała któraś z kobiet.

— Lysó ci, co? Po co bujałeś, że to pomnik? — nakpiwała się Elka z kuzyna.

— A kto Baśkę obulał z tym moskwiczem? Dlaczego jej nie powiedziałeś prawdy, że twoja mama wchodził za maź za faceta z samochodem? Ja jestem w porządku, bo mi ktoś powiedział, że to pomnik, rozumiesz?!

Baśka przez jakiś czas pozostawała w tyle, za nimi. Zafascynowała ją wiewiórka wysuwająca co chwile łepkę z dziupli nieznanego jej gatunku drzewa. Może to był buk, o którym wspominał kierownik, gdyż liście, istotnie, miał czerwone. Przez to niewielkie okienko na świat nieczym przez wizer, wiewiórka zapewne obserwowała najbliższe sąsiedztwo, weszła niepożądanym gości, najchętniej buszujących po cudzych spłatkach.

— ...Nigdy nikomu o tym nie powiem... I kłecham na ten jego samochód... i na jego wille w Zakopcu... Nie cierpię ja jeszcze bardziej niż klusek na mleku... A na wakacje pojedę z babcią...
Baśka udawała, że zupełnie się nie orientuje o czym Ela mówi.

Ni stąd, ni zowąd zerwał się porywisty wiatr. Drzewa kłaniały się w pas, a co wysmuklejsze niemal ziemi wierzechkami dotykały. Stare, rozłożyste wierzby nad stawem, długimi warkoczami galezi chostały wodę, która nie mając ujścia, pienila się jak wzburzone, morskie fale.

Dobiegli do krancówku w momencie, kiedy motorniczy ostrym podzwianiem dawał znak odjazdu.

(Fragment powieści p.t. „Koncert marzeń”)

IGOR SIKIRYCKI

Pieśń argonautów

Z nami słowa Wyroczn!
stadem gołębi fruń
„Argo” dopłynie do Al
znajdziemy Złote Runo!

Za nami tesalskie wżórcza
kosmate od winorośli
i werble kozich racie
na jesionowych mostach
za nami sennie Jolkos
gdzie w kłębek zwinięte dziewczki
jeszcze gorące od pieszczot
z rozchylonymi wargami
trzymają ciagle w objęciach
nasze dalekie ciała.

Z nami słowa Wyroczn!
stadem gołębi fruń
„Argo” dopłynie do Al
znajdziemy Złote Runo!

Nad nami lliane niebo
we dnie lipocze jak żagiel
przymganiający wiatry
a nocą sierp księżycy
wycina na nim gwiazdy
co niby owies dojrzały
sypią się wprost do żłobów
białych rumaków Heliosa
które zaprzęga o świecie
do ognistego rydwanu.

Z nami słowa Wyroczn!
stadem gołębi fruń
„Argo” dopłynie do Al
znajdziemy Złote Runo!

Pod nami pokład który
sztormy chcą wylać za burtę
i morze całe w bruzdach
zorane pletwą delfina
morze dno unoszące
podczas każdego przypływu
a w głębi ośmiornice
i przezrocyste meduzy
co w naszych oczodołach
gotowe uwić gniazda.

Z nami słowa Wyroczn!
stadem gołębi fruń
„Argo” dopłynie do Al
znajdziemy Złote Runo!

Przed nami kobiety z Lemnos
o udach jak białe ryby
o piersiach jak granaty
a tak spragnione miłości
że wyją do księżycy
przed nami wyspa Ares
i ptaki miedzianokrzydeł
a potem ziemia Kolchów
gdzie w lustrze rzeki Fasis
przegląda się Medea.

Z nami słowa Wyroczn!
stadem gołębi fruń
„Argo” dopłynie do Al
nasze jest Złote Runo!

Z przygotowanego do druku tomu poetyckiego „W STRO-
NĄ KOLCHIDY”, który ukaże się wkrótce nakładem Wy-
dawnictwa Łódzkiego.



Fot. JERZY NEUGEBAUER



CO AKTOR POTRAFI?

To, że scenarzysta Andrzej Szczypiorski i reżyser Stanisław Lenartowicz wybrali dla swego filmu tytuł „**OPĘTANIE**” było już ostatnim fałszywym krokiem, jaki uczynili na drodze realizacji swego zamysłu. W istocie, opętanie jest tematem tego filmu, ale do konstatacji tej widz powinien dochodzić powoli, prowadzony przez twórców filmu przez wszystkie zawilosci fabuły i tajemnice ludzkiej psychiki. Opętaniem tym jest marzenie o dziecku, marzenie prowadzące do niemal psychopatycznych działań bohatera dramatu i w efekcie, do tragicznego finału.

Historię opowiedzianą przez Szczypiorskiego i Lenartowicza, po prostu tylko drobniutko streszczając, można by niezwykle łatwo wykić. Bohaterowie filmu to młodzi jeszcze ludzie, kochają się, osiągnęli to, co w naszym rozumieniu dobrobytu na nie się składa — dobrą pracę, mieszkanie, samochód. Nie mają jednak dzieci i mieć ich ze sobą nie będą. Marzenie o dziecku staje się obsesją, lecz mają o adoptacji syna nie chcą. Żona obmyśla plan niezwykły — popycha w objęcia męża młodą, samotnie wychowującą swe dziecko kobietę. Z romansu tego bowiem, narodzi się może dziecko, to, które ma naszej bohaterki chyba już zaakceptuje. Wszystko biegnie zgodnie z ułożonym planem, oprócz rzeczy jednej, nie wziętej pod uwagę, iż ma odda swe serce tej drugiej. Ostatni akt tej historii musi być tragiczny.

Ukryć się nie da, że opowieść ta traci nieco smutną, szmizną jednak mogłoby się stać tysiąc fabuł, zawartych w tysiącu najpiękniejszych książek świata. Również film „Opętanie” wcale nie musiał o owa nieszczęsną śmierć się otrzeć, gdyby... Właśnie! Gdyby twórcy znaleźli właściwy klucz do psychologicznego filmu, gdyby nieprawdopodobne, dzięki wejściu w psychikę bohaterów znalazło swą prawdę, gdyby wszystko nie było tak proste i łatwe w realizacyjnych rozwiązaniach, jak to przy burku dwaj panowie wyobrażali sobie. Film psychologiczny wymaga postaci i atmosfery, zdarzeń i takiego ich układu, by stopniowo odsłaniało to, co najistotniejsze — wnętrza psychiki, motywy i reakcje w ich stawianiu się. Wtedy, najmniej prawdziwe może wydać się najprawdziwsze.

Tymczasem, autorzy tego filmu znaleźli historię niezwykłą i przez to pasjonującą, uwytyli, że pomysł zastąpi resztę. Przy burku konfliktu, sytuacji i dialogi rodziły się na oczekiwaniu, wszystko było niezwykle proste. Na życzenie scenarzysty, na przykład, w czasie, gdy panie nie zmieniły jeszcze letnich sukienek na jesienne, już poczęło się dziecko — było szybkie, było już zakonczył czym prędzej ten dramata serc, bo czym wypełnić czas działający scenarzystą i reżysera od słowa „koniec”. Ten czas wymagał niezwykle delikatnych sytuacji psychologicznych i małego suspense. Scenarzysta zastąpił je zdarzeniami typu deus ex machina, a reżyser — widoczkami z foldów reklamowych wyliczki do NRD i wielce nieudany scenami miłosnymi. Wyprano ten film niemal z wszystkiego, co w psychologii postaci coś znaczy, co pozwala wnikać nie tyle w przyczyny, bo je nam dano, co w samo przeżycie.

Ze „Opętanie” mogło być dobrą filmem, dowodzi natomiast znakomita rola Barbary Wrzesińskiej. Wprost trudno uwierzyć, ale aktorka ta w filmie, w którym wszystko sprzyjało się przeciw niej, zdołała uratować postać Marii. Wrzesińska jest z innego filmu, tworzy kreację autonomiczną, bogatą w psychologiczne niuanse. To wewnętrzne skupienie wyrywa ją z plastycznego banalu akcji, sytuacji i partnerów, którzy są obok. Aktorka jest zawsze głównym nutem psychologicznego kina — dowodzi tego jeszcze raz Barbara Wrzesińska, ale i jej partner Stanisław Mikulski. Ten ostatni a rebours. Nie mógł reżyser popełnić większej pomyłki, jak powierzyć rolę męża temu aktorowi, to przesądziło ostatecznie o porażce filmu.

Grzechy filmu „Opętanie” zrodzone przy burku scenarzysty, a utwierdzone przez reżysera zaskakują, gdy pamięta się o recenzentkim i publicystycznym piórze Andrzeja Szczypiorskiego, wielokrotnie gromko pokrzykującego na film polski, zdumiewają, gdy wspomni się filmy „Zimowy zmierzch” i „Czerwone i złote” w reżyserii Stanisława Lenartowicza.

JESLI CHCIECIE, ZOBACZCIE

„**DROGA DO SALINY**”, to kolejny film, w którym europejscy realizatorzy manifestują swą fascynację amerykańskim kinem. Tym razem już nie tylko warsztat filmowy powiela jego wzorce. Uznano, że opowieść sama sprawdzić się może, gdy miejsce jej akcji osadzi się w Ameryce, że tylko amerykańscy aktorzy sprostażą zadaniom. Dzięki tym ostatnim decyzjom mamy okazję ujrzyć na ekranie największą gwiazdę lat czterdziestych — legendarną Ritę Hayworth. To spotkanie po latach na pewno wielu widzów, tych, którzy boską Ritę („**Gilda**”, „**Dama z Szanghaju**”) pamięta, napełnił smutkiem. Czas jest nieubłagany, nawet dla gwiazd. Dodatkowy smutek ma zdarzenie dawnego kobiecego ideału typu „**sexy**” z ideałem dzisiejszym, który w filmie tym demonstrować nieznana u nas dotąd Mimsy Farmer. „**Droga do Saliny**” da się oglądać — o to dbają obie panie, choć kiczowatość tej ekranowej, niby psychologicznej i dreszczykiem przyprowadzonej opowieści, raz po raz dochodzi do głosu.

„**WALTER BRONI SARAJEWA**”, to oparta na faktach autentycznej sensacyjna opowieść z czasów jugosłowiańskiego ruchu oporu. Prototypem tytułowego bohatera jest Walter Perić, szef sarajewskiej konspiracji. Opowieści partyzanckie były zawsze ulubionym tematem jugosłowiańskiej kinematografii. „**Walter Broni Sarajewa**” kontynuuje tę tradycję, przechylając się jednak w stronę, coraz częściej w światowym kinie stosowaną, konwencją wielkiego wojennego widowiska o charakterze przygodowym.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA FESTIWAL

Nareszcie coś ruszyło się z festiwalami. Tydzień temu (nr 24) stary bywalec festiwalowy Widok („**Kłopoty z festiwalem**”), pisał o dziwnych praktykach Ministerstwa Kultury z akredytacją dziennikarzy w Opolu i wielu innych zmianach organizacyjnych festiwalu. Sami państwo znaczną część ich dostrzeżliście. Moja opinia jest podobna, tylko... Widok ubolewa, że nie było bezpośredniej transmisji z koncertów. I to bardzo dobrze! Rok temu na tych lamach lamentowałem, jak większość sprawozdawców, że topi się nas wszystkich w powodzi szmiry i tandety nie poddanej żadnej selekcji. „**Przetrzynuje**” ludzi przed telewizorami do późnych godzin nocnych. Tak więc innowację zaprowadzoną w Opolu chciałbym powitać z całkowitą życzliwością, nie ludząc się specjalnie, że moje stanowisko sprzed roku miało to jakiś wpływ.

Gorzej było z jakością tych retransmisji. Nawalała synchronizacja i montaż, ciecica następowała nie raz w najmniej spodziewanym momencie. Przez moment włączył się nawet na widzę jakiś czeski(?) general. Było to dość irytujące, ale są to rzeczy do usunięcia. Lepsze to w każdym razie od serwowania „**non stop**” wielu pseudopiosenek.

FORUM

Do napisania o „**Forum**” przekonał mnie po ostatniej audycji z tego cyklu minister Jerzy Kuberski. To była święta robota. Przede wszystkim napracował się (i blizszczy) minister, ale dziennikarze zadawali pytania na poziomie. Nie ustępował im nauczyciele, rodzice i uczniowie, których pytania odwołano z telekina. Problem — reforma szkolnictwa — jest ważny i interesujący niemal wszystkich obywateli w kraju. Mimo sporej ilości publikacji prasowych na tematy szkolnictwa „**Forum**” przybliżyło nam w sposób żywy i przekonujący aktualny stan i przygotowania do tych wielkich przeobrażeń.

Myszę, że „**Forum**” to pozycja bardzo cenna. Ma nie tylko walor informacyjny, szybkiej i kompetentnej informacji, ale daje możliwość bliższego poznania kierowników państwowej nawy. Słuchając ministra Kuberskiego, jak sobie radzi osaczony zewsząd rzeczowymi pytaniami, jak bym się uspokoił o los reformy. Oby tylko kuratorzy i inspektorzy szkolni stylem działania bardziej przypominali szefa!

Mniej atrakcyjnie wypadło poprzednie spotkanie z Ministrem Komunikacji. Może dlatego, że nie miał nam zbyt wiele optymistycznych faktów do powiedzenia? Dla telewizorów z Łodzi były to momenty szczególnej degneryzacji, np. sprawa remontu Dworca Fabrycznego, ale o tym pisaliśmy już nie raz...

REKORD

Co by złego nie powiedzieć o redakcji sportowej TV, to jednak i pochwalę trzeba. To przecież TV wykonała jazdę po rekord świata na 25 tys. km. Kiedy piszę te słowa „**Polski Fiat**” mknie po rekord na 25 tys. mil, a jak się uda to kto wie — może 50 tys.??

Oczywiście telewizja szybko zdobyła sojuszników w tym wcale nieblahym organizacyjnie przedsięwzięciu. Włączył się Zerań, Stomil i nasi dzielni, ambitni kierownicy. Sobiesław Zasada do swoich sportowych laurów dorzucił może absolutne sympatie wszystkich telewizorów, z którymi naprawdę umie rozmawiać.

W sumie, oprócz satysfakcji, że nasz kraj produkuje świetny samochód, przez kilkanaście dni mieliśmy atrakcyjny przerywnik w programie. Kiedy ukazywała się czołówka „**Rekordu**”, wszyscy trzymaliśmy kciuki.

Duże brawa za ten pomysł! Choć, bez uszczypliwości, powinien on wyjść od FSO, od producenta, któremu przede wszystkim winno zależeć na reklamie swego produktu.

TEATR

Oczywiście, poniedziałkowy. Bertolt Brecht „**Kariera Artura UI**”. Była to ciekawa konfrontacja z przedstawieniem sprzed kilku lat, ale które wielu telewizorom zostało w pamięci dzięki świetnej inscenizacji i doskonałej roli tytułowej Tadeusza Łomnickiego.

Wiele ani słowa o Brechtu, o jego wielkiej karierze poety i dramaturga, jego nowoczesnej, a jednocześnie zaangażowanej i głęboko humanistycznej wizji teatru. I nie tylko wizji, ale realnych dokonań we własnym berlińskim teatrze i w teatrach całego świata. Dzięki m. in. naszej telewizji mogliśmy być widzami w tym wielkim teatrze.

Spektakl Jerzego Gruzdy można krótko scharakteryzować jako twórcze osiągnięcie. Była to bowiem udana próba nowego odczytania Brechta, pokazanie jak go rozumiemy teraz, dzisiaj. A więc (co słusznie podkreślił we wprowadzeniu R. Szydłowski) nadania słuce bardziej metaforycznego wymiaru, co na zasadzie modelu negatywnego, bardziej podkreśla jej humanistyczny, ogólnoludzki wydźwięk. Z tą koncepcją doskonale współgrała scenografia Alicji Wirth. Jej świat manekinów, szczególnie w scenie głosowania, współtworzył atmosferę i miał swą głęboką wymowę.

Duże słowa uznania dla wszystkich aktorów, ale o roli Marka Walczewskiego nie sposób powiedzieć inaczej — to było wydarzenie. Ta rola długo pozostanie nam w pamięci i chyba nieprędko znajdzie się aktor, który będzie chciał po nią sięgnąć bez obawy konfrontacji z tym znakomitym osiągnięciem.

JAROSŁAW TARNO



KSIĄŻKA

„ŁÓDŹ, KTÓRA ODESZŁA”

Pałacami i palacykami fabrykantów łódzkich opiekujemy się tak troskliwie, jak w innych regionach Polski dba się o stare, feudalne zamki i stylowe dwory magnackie. I słusznie! Są to bowiem kamienne pamiątki naszej przeszłości. Ale świadkami przeszłości Łodzi są również dawne domki tkaczy i robotników. Część jej jednak pisze się o barwnych, błyskotliwych dziejach różnych łódzkich dynastii fabrykanckich, aniżeli szarych „**niefektownych**” rodzin robotniczych.

A przecież i historia tych ostatnich stać się może dla pisarza fascynującym tematem. Trzeba tylko, zebrawszy odpowiedni materiał, zestawzić go potem z erudycją i... sercem. Tak jak to zrobił w swojej książce „**Łódź, która odeszła**” — Feliks Bąbol, dziennikarz i publicysta łódzki (laureat ogłoszonego przed kilku laty przez „**Odgłosy**” konkursu na opisanie Łodzi).

„**Łódź, która odeszła**” to zbiór reportaży historycznych o wartości dokumentu. To jak gdyby zestaw luźnych kartek wydartych z kłucznemu pamiętników. Swoje własne wspomnienia przeplata tu autor relacjami innych, często anonimowych osób.

Sprawy te rozegrały się zaledwie przed kilkudziesięciami laty. Lecz kiedy dziś mieszkaniec nowoczesnego bloku na Bałutach czy Widzewie czyta o tej Łodzi, która odeszła, zaskakuje go ona swoją „**egzotyką**”: tak bardzo zmieniły się w nowej rzeczywistości i samo miasto i jego mieszkańcy.

Bohaterami reportaży Bąbola są wyłączone robotnicy. I tylko czasami, niby przelotne fantomy ze złego snu, przewijają się postacie fabrykantów — Poznańskiego, Kunieca, Stolarowa, Steigerta czy barona Heinza.

Srodowisko robotnicze zna Bąbol znakomicie. Dzieciństwo i pierwszą młodość spędził bowiem na Chojnach, wśród małych domków peryferyjnych, które — jak sam to precyzuje — „**zbudowali robotnicy z tego, co nie zjedli i nie włożyli na siebie**”.

Rozwój poszczególnych dzielnic — Chojen, Czerwonego Widzewa, Bałut, Radogosza pokazuje autor poprzez historię poszczególnych ludzi: robotników od dawną osiadłych w Łodzi i chłopów, którzy z garstką rubli (a czasem tylko kopiejkę) przybyli ze wsi do ziemi obiecanej, żeby powoli rozplątać się wśród robotniczego proletariatu.

Z epiką dokładnością przedstawiony jest proces wrastania ich w Łódź i w klasę robotniczą, a i zróżnicowanie wewnątrzklasowe w owych czasach, kiedy koloniarze, późniejsi, pracownicy gazowni, elektrowni, magistratu i tramwajów stanowili robotniczą arystokrację. Jest przypomnienie krótkich radości codziennego dnia szarego robotnika, jest gorzka bezrobocia, historia lokautów, strajków, walk czasem wygranych, często zaś przegranych, a i aprobaty solidarności robotniczej: kiedy z powodu ograniczenia produkcji fabrykant zwolnić chciał połowę robotników, żaloga zakładu wolała podzielić się swoją pracą i zadowolili się mniejszymi zarobkami, byle tylko nie dopuścić do redukcji swoich towarzyszy...

W książce swojej przypomina Bąbol różne barwy tamtych czasów, a i różne ich rytmy. Słychać w niej — obok stukania selfaktorów — pośpieszny stuk kroków młodziutkiego gazeciarza, przebiegającego dziennie dziesiątki kilometrów, ażeby zarobić po pół grosza od sprzedanej gazety — brzęk mandolin i gitar zakochanych par, odpoczywających nad stawem Jana — zawołanie harmonii w zadymionej knajpie łódzkiej — płacz starej kobiety, wyrzuconej na bruk przez nielitościwego gospodarza. Czasem z kolei w te rytmy i odgłosy wplatają się echa pamiętnej rewolucji. I tu „**Łódź, która odeszła**” przypomina stary palimpsest, w którym przez późniejszy tekst, raz wraz przebijają się tekst pierwotny, zeskrobany przez klasztorne skrybę.

MIECZYSLAW JAGOSZEWSKI

FOTOGRAFIA

Balet



Taniec związany jest z ludzką kulturą od samych jej prapoczątków. Wyraża on najprostszym stany uczuciowe, był również ważnym elementem magicznym. W formie pierwotnej spotykamy go dziś jeszcze w obrzędach ludów prymitywnych, i — w formach zmienionych i wzbogaconych — w ludowym folklorze. Zentylujemy się z nim także, jako z jedną z form wyrazu artystycznego w tzw. sztuce profesjonalnej: na deskach teatrów, w operach, w spektaklach teatralnych i baletowych. Jest



Jedną z najtrudniejszych dziedzin sztuki, ale jest też symbolem piękna i harmonii.

Zanim jednak my, odbiorcy, mamy okazję doświadczać tych wzruszeń i przeżyć, jakie daje nam oglądanie baletowych pokazów, poprzedza je ukrycia dla naszego oka, ciężka, żmudna i długotrwała praca tancerki i tanecznicy. Może właśnie kontrast pomiędzy tą pracą, ciężką pracą fizyczną, upartym zmaganiem się z opornym tworzywem jakim w tym wypadku jest ciało ludzkie, a efektem finalnym, owym pięknem i harmonią sprawiły, że taniec od stuleci był inspiracją dla wielu innych rodzajów twórczości. Spotkamy się z nim w malarstwie, grafice, w literaturze; wreszcie w filmie i fotografii.

Jerzy Neugebauer przedstawił w Salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego drugi już swój cykl zdjęć, których tematem jest właśnie taniec. Nazwał je „**Impresje baletowe**”. Mówią one nie tylko o samym tańcu, pokazują



w sugestywnej i pełnej ekspresji formie artystycznej trud tancerzy i piękno ludzkiego ciała w ruchu. Niektóre z tych fotografów przywodzą na myśl czarno-białą grafikę; inne, zwłaszcza te, w których Neugebauer używa koloru — malarstwo subtelne i delikatne.

A. GRUN

P.S. Na marginesie „**Impresji baletowych**” Jerzego Neugebauera w salonie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego.



Pocztą literacka

MARIAN K. BRZEG n/ODRA. Nadesłał Pan dwa teksty piosenek i jeden wiersz z gatunku liryki refleksyjnej. Na temat piosenek trudno mi pisać, jest to bowiem twórczość zespołowa: ma w niej udział i kompozytor i wykonawca. To, co w „goyim” tekście wydać się może zgrabne, nie do przyjęcia może się okazać przy komponowaniu linii melodycznej. To, co w wierszu jest bez zarzutu, może się okazać nie do zaśpiewania.

Pozostał mi wiersz przy wierszu p.t. „Pesymizm”. Nie ma chyba poety, który by o pesymizmie nie pisał, ale wyrażać się on powinien nastrojem, obrazem, a nie deklaratcją.

„Myślę o śmierci
Myśli oscylują jak światła
w generatorze maszyny.
Są biegunowe przeciwstawne
oscylują
między pięknem a brzydotą
między porządkiem a chaosem
między radością i tragedią
między szczęściem i zagładą...”

I tak dalej i tak dalej... Za dużo słów — za mało pesymizmu.

BOŻENA M. ŁÓDŹ. Sympatyczne są Pani wiersze i wiele w nich ładnych obrazów, wiele niezłe zapisanych autentycznych wrażeń. Niestety — wiele jest także nieporadności, ale na ogół wychodzi Pani z tych lirycznych prób obroną ręką. Najmocniejszą stroną tych wierszy jest bezpretensjonalność i prostota. Dlatego mnie osobiście rażą te „lekturowo-kulturowe” wtręty o Ozyrysie, Atonie, Kassandrze i Ananke... Po prostu one nie pasują mi do Pani wierszy. Dlatego za najlepszy (choć nie bez potknięć) uważam „Kolyśankę”. Ale, co powtarzam do znudzenia, jeśli chce Pani pisać, to trzeba zacząć od systematycznej lektury dobrych poetów. Wiem, że to banalna rada, ale na pisanie żadna rada nie gwarantuje powodzenia.

ANDRZEJ G. BIELSKO. — Potrafię się zdobyć na odwagę, aby powiedzieć komuś, że z jego pisania nic raczej nie wyniknie. Grafomanie bowiem stwierdzić jest stosunkowo łatwo. Trudniej natomiast zdobyć się na odwagę, aby komuś powiedzieć, że ma poetycki talent, czy choćby uzdolnienia. Dlatego mogę Panu powiedzieć to tylko, że powinien Pan pisać nadal. Jest z pewnością sporo banału w Pana wierszach, ale jest przecież daleko więcej kultury literackiej, wrażliwości na słowo, umiejętności budowania nastroju. Są to wiersze bardzo — powiedziałbym — ściśnione, napisane niejako szepem. Jest w nich owo przyszłościowe „coś”, co każe się nad nimi zamyślić.

PIOTR K. ŁÓDŹ. Może Pan wierszyć lub nie — ale pisanie wierszy nie polega wyłącznie na składaniu rymów.

**„Lecz tortury średniowieczne
ręcz to brudna i niezdrowa
przećcieć lepiej i skuteczniej
działa bomba atomowa”**

Ma Pan niewątpliwie rację, choć określenie „niezdrowa” w wypadku tortur jest zbyt łagodne. Nawet rymy Panu dobrał zgrabnie — niestety to jeszcze nie jest wiersz. Rymy plus racja jeszcze nie tworzą poezji. A co ją tworzy? Ba, żeby to ktoś wiedział na sto procent!

KRYTYK



Śmierć w lesie

Wies N. w powiecie radomszczańskim nie cieszyła się dobrą sławą w okolicy. Powszechnie wiadome było, że większość gospodarzy w tej wsi posiadała broń, kłusując po okolicznych lasach. Już sam fakt, że ktoś ukrywa u siebie strzelbę — chociażby myśliwską — nie zachęca do nawiązywania przyjaźni, toteż mieszkańcy okolicy wsi woleli omijać N. z daleka. Niechęć tę pogłębił jeszcze dramat, który pewnego późnego, letniego wieczoru 1981 r. rozegrał się w lesie tuż pod N. Tego wieczoru wyszedł do lasu miejscowy gospodarz Jan N. Zbliżył się z żoną, postanowił wyszukać styliska do kosy. Kiedy upłynęło kilka godzin, a Jan N. nie wracał, zaniepokojona żona zaalarmowała miejscowy posterunek MO. Jednak rozpoczęte zaraz poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Dopiero następnego dnia wezwane do pomocy dzieci ze szkoły znalazły Jana N. Leżał twarzą do ziemi. Nie żył. Na ziemi znaleziono liczne ślady zwierzęcy. A w plecach Jana N. tkwiła kula karabinowa, wystrzelona z broni kalibru 15 mm.

Zmudne przeszukiwanie wsi przyniosło jedynie ten rezultat, że u czterech gospodarzy noszących jednakowo nazwisko K. odkryto nielegalnie posiadaną broń. Wśród owej czwórki znalazł się także 66-letni Feliks K. — właściciel strzelby myśliwskiej kalibru 20 mm., zresztą zdanym obywatelom od dłuższego czasu nieużywanej i praktycznie rzecz biorąc niesprawnej. Śledztwo w sprawie śmierci Jana N. umorzono z powodu niewykrycia sprawcy, natomiast owi czterej panowie K. skazani zostali na karę więzienia za nielegalne posiadanie broni. Feliks K. odsiedział 8 miesięcy i w rok po opuszczeniu więzienia zmarł.

W kilka miesięcy po śmierci Jana N. miejscowe organy ścigania otrzymały wiadomość, że trzej współwziewniowie Feliksa K. odbywający z nim karę w tym samym czasie i w tym samym zakładzie karnym twierdzą, jakoby przyznał się on przy-

nich do zabójstwa Jana N. Wszczęto więc umorzona poprzednio śledztwo. W tym stanie sprawy żona zabitego wystąpiła z powództwem cywilnym wobec spadkobierców Feliksa K.

Sąd powiatowy przesłuchał ośmiu świadków, którzy „uściłili” swoje złożone poprzednio w śledztwie zeznania. Otóż świadek B. stwierdził, że nigdy nie przebywał w jednej celi z Feliksem K., jedynie słyszał jakiegoś pogłoski o jego przyznaniu się do zabójstwa, które w tym czasie krążyły po więzieniu. Z kolei świadek J., śledzący z Feliksem K. słyszał od niego o jakimś zabójstwie, ale nie mówił on o kogo chodziło, ani że to on zabił.

W tej sytuacji koronnym świadkiem oskarżenia stał się trzeci świadek — G., wielokrotnie karany, a ostatnio podejrzany o zabójstwo swojego brata. Ponadto istniało uzasadnione podejrzenie, że G. nie jest zdrowy psychicznie. Niemniej jednak świadek ten twierdził kategorycznie, że Feliks K. przyznał się do zabójstwa, lecz nie potrafił powiedzieć kiedy i w jakich okolicznościach przyznał się do nastąpiło. Sąd przesłuchał także oficerów MO prowadzących śledztwo w tej sprawie, nie nowego jednak nie mogli powiedzieć. Przesłuchano także innych współwziewniów. „Słyszeli oni jedynie, że Feliks K. mówił „śledząc za niewinnością”. Przesłuchiwani mieszkańcy wsi N. twierdzili, że żona Jana N. ich także podejrzewała o dokonanie zabójstwa. Wobec tytu wątpliwości, sprawca śmierci Jana N. nadal pozostał nieznanym.

Postępowanie cywilne o odszkodowanie przeciwko spadkobiercom Feliksa K. toczyło się dalej. Ciężkawie przebiegała tu linia obrony, przedstawiana Sądowi przez pełnomocnika powoływanych mec. Michała Kuydowicza. Ponieważ prawomocny wyrok w sprawie karnej w powyższej sprawie nie zapadł, a sąd cywilny związany jest tylko takimi ustaleniami sądu karnej, praktycznie więc miał do wyboru w wyborze oceny. W postępowaniu karnym wszystkie nie dające się usunąć wątpliwości rozstrzygał się na korzyść podejrzanego. Wątpliwości w powyższym przypadku było aż nadto. Pełnomocnik strony pozwanej twierdził więc, że w postępowaniu cywilnym z dobrodziejstw tego przepisu powinna skorzystać rodzina podejrzanego. I rodzina skorzystała. Sąd Powiatowy oddalił powództwo, nie obciążając kosztami postępowania powódki. Sąd uznał bowiem, że subiektywnie żona Jana N. mogła być przekonana, że to właśnie Feliks K. był zabójcą, ale dowiedzieć tego nie jest w stanie. Sąd Wojewódzki potwierdził tę decyzję.

MIECZYSLAW
STOLARSKI

POWIEKSZENIA

BESTSELLER WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO

Ukazał się kolejny bestseller Wydawnictwa Łódzkiego. Oto on: „Errata”. Na str. 4 jest: „Projekt obwołuty Andrzej Szonert. Powinno być: Projekt okładki Jacek Sierociński”. Mała rzecz, a... smuci.

AFERY NA LATO

Na letnią kanikule czytelnicy prasy społeczno-kulturalnej uraczeni zostali szczegółami przemysłowo-kryminalno-erotycznymi pewnej afery ze świata ludzi znanych szerokiej publiczności. Proces już się skończył. Lato jeszcze nie. W Warszawie wymienia się znane (niegdys) nazwiska ludzi organizujących przemysł na skalę większą niż Gajda, którzy też — być może — doczekają się wreszcie „pokazówek”.

WYMIERAJĄCE POKOLENIE

Młoda łódzka dziennikarka Lucyna Hosińska z „Expressu” pisze: „150 lat stulecie łódzkiemu przemysłowi. Wymiera powoli pokolenie, pamiętające początki robotniczej Łodzi...”

Z tego rachunku wynika, że wymierają 160-latk. Ciężka wostka przyrodnicza. Albo stylistyczna.

SAMI SWOJI

Irytująca maniera pomijania imion przy nazwiskach rozpowszechnia się coraz bardziej. Oto przykład z „Parady gwiazd” (Panorama „Dziennika Łódzkiego”):

„Nastąpiła zmiana głównego reżysera festiwalu; Rzeszewskiego zastąpił Jankajtyś. Druga zmiana dotyczy kierownictwa muzycznego; Bógdánhłowicz zastąpił Majewski i Spyrka”.

Podpis pod „Paradą gwiazd”: ANDRZEJ Jóświak.

ZDOLNI LUDZIE

W leżycym parku chuligani rozebrali most na Bzurze. Działo się to w pobliżu siedziby Komendy Powiatowej MO. Panowie Chuligani! A nie mogliście zrobić pokazowej rozbiórki starych domów w Łodzi!

POLIGON?

„Odgłosy” stają się poligonem doświadczalnym dla niektórych publicystów. Ostatni numer „Przeglądu Księgarskiego i Wydawniczego” otwiera artykuł o Wydawnictwie Łódzkim, publikowany przed paroma tygodniami w „Odgłosach”. Autor, przez skromność zapewne, nie ujawnia tego faktu w „Przeglądzie”.

MUZEUM ZABAWEK

Dzieci zawsze lubiły się bawić. Nawet zwykły kamień czy patyk może dla dziecka spełniać tę samą rolę co najdroższy, najpiękniejszy i najbardziej wyszukany przedmiot. Inaczej ma się sprawa z rodzicami. To oni kupują zabawki, oni oddają za nie pieniądze, oni decydują o ich losach. Wychowają nimi dzieci według swych gustów i przekonań, wybierają je w celach dydaktycznych czy estetycznych, a nawet politycznych. Przecież w okresach wojen w rękach dzieci pojawiały się masowo obłowane, czy cynowe żołnierzyki. Tak było m.in. w epoce wojen napoleońskich, gdy technika odlewnicza pozwalała na masowe produkowanie całych armii małych, uzbrojonych ludzików. Na dobrą sprawę można by było zrekonstruować historię ludzkości, a przynajmniej jej główne problemy mając do dyspozycji jedynie wszystkie rodzaje zabawek dziecięcych od zarania dziejów. W nich to bowiem odzwierciedla się rozwój cywilizacji, gustów, tendencji społecznych, różnie klasowych, bogactwa i nędzy.

W zabawkach też odzwierciedla się aktualny stan techniki świata dorosłych. Od zabawki prymitywnej, choć często bardzo pomysłowej, ze szmatek czy drewnianek, aż do wykonanej z plastiku, czy zabawki zaopatrzonej w komórkę fotoelektryczną (reagującą na światło żółte) lub rezonującą na fale radiowe (np. stateczki) możemy prześledzić postępy techniki

miesięcznika „Die Kunst und das schöne Heim”. Altonskie muzeum posiada zbiory zabawek od momentu swego powstania w roku 1883. Dział ten wzbogacał się i poszerzał w okresach między obława wojennymi, a znacznie się rozrósł w ostatnich latach. W roku 1913 muzeum, które obchodziło właśnie pięćdziesięciolecie swego istnienia, miało już wyodrębniony dział zabawekarski, a w roku 1970 podjęto, trwające półtora roku, prace dla rozbudowania tego działu i oddania na jego potrzeby czterokrotnie większej powierzchni sal niż poprzednio.

Zbiory altonskiego muzeum przyciągają zarówno starszych jak i dzieci. Starsi przychodzą tu oglądać zabawki nie tylko z sentymentu do wspomnień z własnego dzieciństwa lecz szukają w eksponowanych przedmiotach wrażeń estetycznych lub powiązań z kulturą czy gustami danej epoki, podziwiają nieraz precyzję i zręczność wykonania. Np. w altonskim muzeum znajdują się zabawki wykonane ze srebra, a pochodzące z drugiej połowy osiemnastego wieku — miniatury, wykonane z ogromną precyzją, delikatną zawiązką, jak kieliszki, dzbanuszki, cukiernice, koszyczki, taletki, pucharki itp. Obok ustawiono dziecinne grzechotki, również wykonane ze srebra, zaopat-

zione w gwizdki. Przed tym stołkiem, na którym stoi zastawa, umieszczono dwie kunsztownie wykonane karocce, jedna z dwójką koni, druga zaprzężona jest w czwórki koni. Wątpliwe jednak czy owe miniatury, cenne przedmioty, a zwłaszcza karocce z biegaczami, zastępy w ruchu koni w zaprzęgu, były jedynie przeznaczone do zabawy dla dzieci. Raczej ustawiano je w mieszczarskich salonach. Ich zadaniem było wzbudzać podziw gości i świadczyć o zamożności właścicieli mieszkańca.

W altonskim muzeum znajdują się całe sceny z życia bogatych mieszczuchów, jak np. „Lalki idą spać”. Widzimy tu fragment wnętrza sypanego pokoju. Ściany wyłożone są tapetą, lustro w ozdobnej ramie, szafa, łóżeczko z kompletną pościelą, w której leży pucoława laleczka, pod lustrem stoi szafka z porcelanową miednicą, przyborami do mycia, pod szufladą kubek na wodę i dość okazały rozmiarów nocnik również z porcelany. Dwie małe laleczki, goty z narzuconymi na ramionach ręcznikami, stoją szykując się do mycia. Jedna laleczka trzyma w ręku gąbkę, druga szcoteczkę do zębów. Przed nimi starsza siostrzyzka-lalka w koszulce i różni z gąbką w ręku, a z lewej strony, tyłem do widza stoi ubrana w białą, dość stroj-

ną suknię z koronkami, niania. Typowa sceneria z lat 1850-1870 w zamożnym domu miejskim, mająca znaczenie dydaktyczne — zachęcania dzieci do higieny i grzecznego pójścia spać. Laleczki przedstawiające dzieci są wykonane całkowicie z porcelany, niania ma głowę z papieru maché połączoną wąskimi Inna scena przedstawia bardzo starannie odtworzoną scenę w szkole dla dziewcząt. Laleczki, sztywno siedzące za szkolnymi ławkami, są tu z biskwit. Biskwit był dekoracyjnym wyrobem porcelanowym, nie pokrytym szkłem. Z wyglądu przypominał marmur. Wprowadzony w XVIII wieku we Francji, rozprzestrzenił się w całej Europie. W scenie szkolnej możemy doskonalnie poznać szczegóły wyposażenia klasy. Na ścianach wiszą tablice z wizerunkami ptaków i ssaków, dziewczynki-laleczki trzymają przed sobą książki i zeszyty, w głębi sali widać wieszak z wierzchnimi okryciami uczennic. Obok na otwartej ławce stoi mały globus.

Zabawki w Muzeum Altonskim pochodzą przeważnie z okolic Hamburga, niektóre jednak były sprowadzane z dalszych miejscowości, a ponieważ Hamburg utrzymywał żywe stosunki handlowe z wieloma krajami, znalazły się tu wyroby zagraniczne sprowadza-

ne z Anglii czy Francji. I tak np. na lalkowej karuzeli obok niemieckiej lalki z lat 1890-1900 siedzi laleczka francuska z tych samych lat. Obie mają naturalne włosy, skórzane obuwie, głowy i przedramiona z biskwitu i ubrane są według wówczas panującej mody. Francuska ma oczy szklane nierechome, niemiecka — może ruszać oczyma. W muzeum znajdują się też zwierzęta z karuzeli jak konie, kozy, świnki, niektóre zaopatrzone w mechaniczne poruszające np. ogony końskie. Są też najprzeróżniejsze miniatury instrumenty muzyczne, gry rozrywkowe, do zabawy w domu i na powietrzu.

Wziewanie muzeum jest wielką atrakcją dla dzieci i dla dorosłych. Odpowiednie oświetlenie, tło, uruchamianie mechanicznych niektórych zabawek — przykuwają uwagę widzów, podnosząc atrakcyjność ekspozycji. I tak zwiedzający mają okazję zobaczenia wolno obracającej się karuzeli z osiemdziesięcioma lalkami pochodzącymi z lat 1820-1920. Karuzela umieszczona jest na tle wielkiego malowidła obrazującego sceny jarmarczne z ubiegłego wieku, a wykonanego według sztęchu z roku około 1830.

JANUSZ
SKOSZKIEWICZ

Zdarzeni A. I. Zwierzeni A

DWUSTU MOICH KOLEGÓW...

Sylwetki i „próbki” twórczości prawie dwustu warszawskich felietonistów zgromadził Jan Józef Lipski w swojej pomnikowej książce. Wcale nie przesadzam, pisząc, że książka jest pomnikowa — gdyby już Lipski nie więcej nie napisał to te dwa tomy — ta ogromna twórcza praca sprawia, że Lipski pozostawił swój trwały ślad.

Warszawscy felietoniści z lat 1818—1939 to przecież felietoniści polscy. Te dwa tomy to zapis polskiej publicystyki stu dwudziestu lat — a więc zapis nowożytnego dziennikarstwa. Wielka książka i napiszą o niej na pewno nie raz i nie dwa godniejsi i bardziej uczeni ode mnie. Sygnalizuję więc tylko książkę z zawodowego sentymentu — bo przecież są w niej konterfekty moich kolegów.

To nie brak skromności

przemawia przeze mnie. Lipski nie wybrał do swej książki reprezentacji narodowej — asów felietonistyki. Zgromadził natomiast sumiennie i uczciwie wszystkich — wielkich i małych. Znaleźli się tu tacy jak Bolesław Prus, ale także tacy, którzy pisali swoje stałe felietony w jakichś peryferyjnych gazetkach typu „Gazety Polcji Państwowej”.

Ze wzruszeniem odkrywa się w tej encyklopedii polskiego felietonu sprawy, nazwiska, kryptonimy, tytuły rubryk... Oto felieton Artura Gliszczyńskiego — poety, który w literaturze Łodzi zapisał się jako pierwszy piewca łódzkiego proletariatu. Ale przecież Gliszczyński nie był łodzianinem z urodzenia — przybył tu mając lat 20 i po dwudziestu latach wrócił do Warszawy... Więc notuje Lipski jego wierszowany felieton z „Bluszczu” z 1904 roku. A

to Inny biegun. Julian Podolski też warszawiak i znany reporter „Kurieru Warszawskiego” — jeden ze zdolniejszych przedstawicieli tego rodzaju piśmiennictwa — osiadł pod koniec życia właśnie w Łodzi współpracując z łódzkim oddziałem „Słowa Powszechnego”. Julian Podolski to nieśladznie zapomniany znakomity reporter, który swoje literackie talenty oddał w pacztę dziennikarstwa — i któremu to miejsce w antologii Lipskiego jak najsluszniej się należy.

Zresztą Lipskiemu nie szło akurat o wymierzanie zasług, tylko o pełnię obrazu polskiej felietonistyki na przestrzeni 120 lat. Dla Lipskiego — autora antologii czas zatrzymał się w roku 1939. I słusznie, bowiem tylko taki zabieg gwarantował obiektywizm i pełnię obrazu. Są więc w antologii prezentacje i tych nielicznych, którzy potem splamili się niesławą — ale przecież przedtem byli znanymi i poważanymi publicystami i ich obecność w dziennikarstwie jest faktem.

Z rozróżnieniem natomiast czytamy, że „odgłosowy”, „Zak” nie jest pierwszy, bowiem już w roku 1916 młody Jerzy Szaniawski tak podpisywał swoje felietony w „Sowizdrzale”. I mój „Widok” nie jest też taki oryginalny — bowiem Józef Wasowski podpisywał swe felietony w „Epocze” kryptonimem „Widz” jeszcze w roku 1928. A tytuły rubryk „Co słychnąć?”, „Poglądy różne na rzeczy rozmaite”, też są stare...

Z zadumą czytam owe życiorysy polskich dziennikarzy. Im dalej w przeszłość, napo-

tykam lakoniczne wzmianki „zmarł na gruźlicę”, „zmarł w zapomnieniu”... Im bliżej współczesności czytam „zmarł na serce”, lub spotykam daty lat wojennych i nazwy obozów... Albo słowa „do zawodu nie wrocili”.

I są rzeczy, których dziś — zda się — nie rozumiemy. Jerzy Paczkowski — miał 18 lat, gdy debiutował w „Skamandrze”, 19 lat, gdy został redaktorem „Cyruilka Warszawskiego” — 36 lat, gdy zginął w obozie Hamburg-Neuengamme. Jerzy Paczkowski! Cała epoka polskiej satyry! Ciekawostki wreszcie. Rozsiał je Lipski hojną ręką w tych króciutkich portretach felietonistów. Odnajduję jedną. Oto Jadwiga Kiewnarska, felietonistka „Kurieru Warszawskiego” wydała... sześć lat przed Boyem książkę o Marysienie i Janie III Sobieskim. Nie Boy więc odkrył ten wzruszający i pikantny temat — choć tak się powszechnie sądzi.

Na koniec wreszcie o felietonie jako gatunku. Jan Józef Lipski pisze, że nie można tu zastosować metody ks. Chmielowskiego z „Nowych Aten”. Ten bowiem definiując pojęcie konia napisał: „Kon — jaki jest każdy widzi”. Czyli — po co zbędne opisy. Nie można jednak napisać: „Pies jaki jest każdy widzi” — bowiem każdy, kto widział jamnika małe ma raczej wyobrażenie o charcie? Z felietonem podobnie. Mieści on w sobie i wiersz i gawędę i żartobliwy dialog i elementy publicystyki i wspomnienie i refleksje na temat przeczytanej książki. Choćby takiej jak „Warszawscy „Pustelnicy” i „Bywalscy” J. J. Lipskiego.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM OKIEM!

Chciałbym sprawdzić

Nie ma takiego pisma, które by od czasu do czasu nie zamieściło artykułu o perspektywach przedłużenia ludzkiego życia. Autorzy liczą się w kreśleniu fantastycznych możliwości, dawno już im przestała wystarczać setka lat, czytamy już o trzystu, pięciuset, ba — o tysiącu lat! Tysiącletni facet — wyobraźcie sobie coś takiego? I to własnego, być może, prawnuka?

Ostatecznie — można sobie przecież pofantazjować. Podobno żyje w Iranie jakiś pasterz, urodzony na pięć lat przed końcem osiemnastego wieku. Ma sto siedemdziesiąt

osiem lat — jeśli nie jest jeszcze jednym „wężem morskim”. Jeżeli te swoje blisko dwa stulecia spędził na tej samej łące z owcami czy krowami, to musi być już sakramenko znużony i nie powiem, żebym mu zazdrościł. Wyczytałem też gdzieś niedawno, że wśród starożytnych Greków sześćdziesięcioletek uchodził nieomal za chłopaczka — ale to już kładę między bajki, bo starożytni Grecy zostawili po sobie mnóstwo śladów i wcale z nich nie wynika, żeby byli tacy długowieczni.

Dopiero dziś, w ostatnich

latach, coraz częściej spotykamy wypadki, że ktoś przechodzi na rentę starczą, a ma jeszcze na utrzymaniu matkę. Czasami zresztą ma jednocześnie na utrzymaniu nieletnie dzieci, bo przecież mężczyzna pod pięćdziesiątkę lub nawet starszy nieraz staje się ojcem ku niewątpliwej swej dumie. No, a co będzie, gdy ludzie zaczęli sobie dożywać trzystu lat?

Ponięważ suma wiedzy o świecie zawrotnie rośnie, trzeba się będzie uczyć coraz więcej i coraz dłużej, żeby osiągnąć wymagany poziom wykształcenia i specjalizacji. Być może — maturę będzie się zdawać po czterdziestce, potem dwadzieścia lat uniwersytetu, dziesięć lat stażu, pięćnaście — praktyki na prownicji. A tu czas się żenić, kochani, was się syple, czekać trudno. Medycyna przedłuża zarobkowo okreszym jak i kobietom okres ich pełnych możliwości małżeńsko-rodzicielskich, powiedzmy skromnie — do dwustu lat. Przez dwieście lat choćby człowiek nie wiem jak nie chciał —

dozeka się przecież sporej gromadki potomstwa i nikogo nie będzie dziwił fakt, że czyjeś praprawnuki będą starsze od dzieci tego samego protoplasty. Nie wiadomo zresztą, czy zachowują się pojęcia takie, jak syn, wnuk, prawnuk, ojciec, dziadek, stryj. Wszyscy będą żyć obok siebie, wszyscy prawie różni wiekiem lub pokrzyżowani różniami pokoleniami, w żadnym z tych pojęć nie będzie już demantu starszoństwa, wobec czego staną się mylące i zbędne. A pojęcie żony i męża? Czy można sobie wyobrazić małżeństwo trwające wiecznie dwieście osiemdziesiąt lat? Czy to nie za długa próba? Panie, dochodzące setki w stanie panińskim, zróbia wszystko, żeby jednak zdobyć partnera. Te zabiegi nieuchronnie rzutować będą na trwałość związków innych kobiet, narażają panów — choćby najbardziej lojalnych i wiernych — na tysiące pokus niemożliwych do odparcia. Przecież już dziś obserwowujemy to zjawisko. Każdy i każda ma prawo do szczęścia!

Nie wykluczone więc, że przeciętna długość trwania związku dwojga ludzi nie tylko nie wzrośnie, ale może właśnie ulegnie zmniejszeniu. Analogicznie — kto wie, czy nie będzie trzeba skrócić kadencji prezydentów, ministrów, prezesów i dyrektorów. Po dwustu latach praktyki w zawodzie nawet ostatni jolop nabędzie najwyższych kwalifikacji, później niż jego zdolniejsi rówieśnicy, ale przecież nabędzie, ma czas. Tym samym nabędzie też prawa i aspiracji do najwyższych stanowisk. Każdy ma prawo, skoro ma kwalifikacje! Czy zatem będziemy skraćć kadencje, czy mnożyć ilość prezesowskich i dyrektorskich foteli?

Powstaną także inne, skomplikowane problemy. Skoro dzieci rodzici się będą nadal, a ich rodzice, dziadkowie i prapradziadkowie wciąż cięsz się będą świetnym zdrowiem, tańczyć na dansingach, flirtować na wczasach i znów podziwiać następne dzieci — to bezwzględny przyrost ludności będzie lawinowo wzrastał.

ĆWIEK

PRZECZLIWOSC

Bibliotekarz rozpoznany

KARIERA PROWOKATORA (II)

R. Przelaskowski spisując niedługo przed śmiercią swoją relację o dziejach ratowania dóbr kultury narodowej w warszawskiej Bibliotece Publicznej w latach okupacji, zwykł był dzielić się wspomnieniami ze swymi młodszymi współpracownikami. Niejednokrotnie też wracał do zagadkowej figury rzekomego J. Berdycha. Jednemu z kolegów opowiadał, że ów osobnik miał na ogół bardzo dokładne dane o różnych wydarzeniach politycznych, od niego np. miał się dowiedzieć o aresztowaniu gen. Grota — Rowckiego. Kiedy indziej wspominał o rozmowie, jaką przeprowadził z J. Berdychem, chcąc się przekonać, jakie ma on fachowe kwalifikacje po temu, aby zajmować się zbiorami zgromadzonymi w dziale, którego miał objąć kierownictwo. Wówczas ten miał mu rzec, że jest dobrym fachowcem od spraw antykomunizmu, a nawet, że przed wojną opublikował książkę o KPP. Te wiadomości pozwoliły niebawem na identyfikację zagadkowej postaci: dawny dyrektor biblioteki rozpoznał swego byłego pracownika na fotografii, opublikowanej w nr 4/1958 czasopisma „Z Pola Walki”.

Pod zdjęciem widniało inne nazwisko, o którym jednak później.

Nie był R. Przelaskowski jedynym pracownikiem biblioteki, który bacznie obserwował poczynania rzekomego Berdycha, aby potem zdać o nich sprawę w druku. Podobnie czyniła młoda wówczas bibliotekarka Elżbieta Skierkowska, której wspomnienia zostały epublikowane w tym samym wydawnictwie, co omówiona już relacja. Wraz z kustoszem Janiną Peszyńską czujnie śledziła ona tego osobnika.

Pod zdjęciem widniało inne nazwisko, o którym jednak później.

Nie był R. Przelaskowski jedynym pracownikiem biblioteki, który bacznie obserwował poczynania rzekomego Berdycha, aby potem zdać o nich sprawę w druku. Podobnie czyniła młoda wówczas bibliotekarka Elżbieta Skierkowska, której wspomnienia zostały epublikowane w tym samym wydawnictwie, co omówiona już relacja. Wraz z kustoszem Janiną Peszyńską czujnie śledziła ona tego osobnika.

„Inteligentny, wykształcony i bardzo elokwentny usiłował na wszelkie sposoby zdobyć zaufanie pracowników i trzeba przyznać, że czynił to bardzo umiejętnie, odgrywając rolę niewinnej ofiary hitlerowsko zmuszających go do wykonywania narzuconych mu funkcji. Kustosz Peszyńskiej nie unikał, wręcz przeciwnie — zdobywał wytrwale, ale bez powodzenia jej przychylności; nazywała go często w naszych poufnych rozmowach „genialną wtyczką”.

Pomimo jednak — powiada autorka wspomnień — „chłodnej powściągliwości starszej kadry” — niekiedy udawało się Berdychowi przełamać barierę nieufności, zwłaszcza

u młodych pracowników, i tą drogą docierał do ukrywanych spraw Biblioteki. Ciekawil go Dział Sztuki, w którym pracowała autorka, ale od niej niczego się nie dowiedział. Niekiedy szedł na prowokację w dużym stylu, jak wówczas, kiedy wprost zapytał E. Skierkowską, czy należy do konspiracji i zaoferował się wprowadzić ją do tajnej organizacji. „Gram podwójną rolę, jestem Polakiem i patriotą” — powiedział jej wówczas. Spotkał się jednak ze zdecydowaną odmową. „Kobiety, panie doktorze, nie nadają się do pracy konspiracyjnej”, odrzekała tkwiąca w niej faktycznie po uszy bibliotekarka. Dziwny konspirator nie rezygnował jednak ze swej gry i „od czasu do czasu nawiązywał do swojej ofiarnej pracy dla Polski”.

Pani E. Skierkowska opowiada dalej, jak to po pewnym czasie dowiedziała się, że Berdychowi rzeczywiście udało się nawiązać kontakty z polskim podziemiem. Poinformowała ją o tym koleżanka, która nie ukrywała niepokojów. Po rozmowie autorka wspomnień doszła do wniosku, że „to prowokator, tylko na dużym miarę”. Koleżanka nie była w pełni przekonana, „Może zbyt

surowo sędzisz, to przecież wojna i rola kontrywywiadu jest czasami konieczna” — wyrażała swoje wątpliwości.

Jak grom z jasnego nieba przyjeły, gdy inna z koleżanek, Danusia, w największej tajemnicy, zwierzyła się, że właśnie wychodzi za Berdycha za małż. Z trudem opanowały się, udawały, że podzielają jej radość, że wierzą w patriotyczne i konspiracyjne zasługi jej wybranego. Kiedy jednak po jakimś czasie doszły do nich wieści o tym, że Berdych rozwinął stosunki z polskimi organizacjami konspiracyjnymi, E. Skierkowska wraz z przyjaciółką zdecydowały, że za wszelką cenę trzeba jak najprędzej uzyskać o nim wiarygodne wiadomości.

„Rezultaty poszukiwań przeszły nasze oczekiwania — według tych informacji był on skonecznym łotrem, szpiegiem niemieckim i rzeczywiście prowokatorem wysokiej klasy. Słowno, ostrożnie udało się ograniczyć jego możliwości i zakres w Bibliotece i poza terenem naszej pracy. Sprawa była trudna — obowiązywało nas milczenie”.

Tragicznym okazał się los kobiety, która uwiertyla kłamstwem J. Berdycha i związała z nim swoje życie. Po roku

koleżanki odwiedziły ją umierającą w szpitalu. Nie było dla niej ratunku. Na korytarzu spotkały jej męża, E. Skierkowska wspomina: „czy lekarze przewidują poprawę? — zapytałam. — Małą, proszę pani — i szybko dodał — byliśmy pod koniec lata na wsi i tam było dużo pomidorów, podobno znajdowały się na nich jakieś trujące bakterie. — A pan doktor ich nie jadł? — Ja nie lubię pomidorów”. Po kilku dniach spotkali się na pogrzebie.

Podobnie jak dawny dyrektor biblioteki, również i pamiętnikarka nie ma wątpliwości, że aresztowanie rzekomego Berdycha było zamknięciem przez Gestapo, któremu chodziło o upozorowanie zniknięcia z terenu Warszawy człowieka, który mógł oddać hitlerowcom jeszcze cenne usługi: gdzie indziej. Piszcie iż „zgubił on niejedno nazwisko po drodze swego awaturniczego życia, oraz był notorycznym bigamistą”. Nie wiem, czy wiadomości te uzyskała w czasie okupacji, czy później; byłoby to dosyć ważne.

Historia — choć długa — jeszcze nie skończona. Więc znowu: c.d.n.

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaplaceniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Zwirki 17.